

BLUSZCZ

Społeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobięcy

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 4 LUTEGO 1928 ROKU

NR 6

TREŚĆ NUMERU: Tajemnica uśmiechu — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Kraków i Warszawa w 1813 roku — *Anna z Krajewskich Nakwaska*. Wiersze: „Noc karnawałowa” — *Zofja Rościszewska*, „Kulig” — *Aleksander Kaliszewski*, „Karnawał” — *Lucyna Krzemieniecka - Wolicowa*. Dobra wróżka — *Ewa Szelburg*. Dusza tańca — *Well*. Przygody błękitnych możliwości (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Taniec i muzyka w epoce Odrodzenia — *Paula Lamowa*. Z życia muzycznego — *P. L.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S. i N. J.* Powinniśmy tańczyć — *N. J.* Karnawał — *W. D.* Przyjęcia zaręczynowe i ślubne — *J. S.* Tematy karnawałowe — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje, Dodatek: „Mody i Roboty”. Aksamity i koronki — *Well*. Kilka sukien balowych. Dodatek powieściowy: „Kłęska mrozu” — *Monteiro Lobato* — przekład z portugalskiego *J. Świerczewskiej*. Arkusz wzorów.

TAJEMNICA UŚMIECHU

— Dlaczego wasze dzieci tak mało się śmieją? — zapytała mnie kilka dni temu bawiąca przelotnie w Warszawie Karin Michaelis. — Dlaczego w waszych żłobkach tyle jest milczących kołyszek, a po ulicach przedmieść i osad fabrycznych chyłkiem przemykają się dzieci blade, nieufne, które umieją psocić, hałasować, bić się, ale nie umieją się uśmiechać? Dlaczego nawet dzieci inteligencji, wyrosłe w atmosferze kultury i dostatku, są zgaszone, zbytnio wstrzemięzliwe w żywiołowych wybuchach młodzieńczej pustoty, przedwcześnie taktowne, zadobrze wychowane? Dlaczego?

Przyznaję, że to pytanie wprawiło mnie w niemale kłopot. Poczułam się wobec tej energicznej, zawsze uśmiechniętej, serdecznej i pełnej radości życia dunki — dzieckiem narodu, który mocą tajemnych przeznaczeń wydziedziczony jest z błogosławionego daru uśmiechu. Gorzej: poczułam się poniekąd odpowiedzialną za te wszystkie nienarodzone przebłyski radości, za perły i korale uśmiechów, żywcem pogrzebanych pod mogiłą zawsze zasepionego czoła, pod zatrzaśniętym wiekiem ust, ściętych nieustępliwą goryczą i bezsensną troską. Nie było czasu na rozwinięcie przed tą cudzoziemką — przystępującą do nas raczej z życzliwą ciekawością, niż z istotnym zrozumieniem — historycznego podłoża naszych smutków i tęsknot; ale ona sama z niezwykłą jasnością i pro-

stotą sądu przecięła wątlą nitkę mego podświadomego odruchu.

— Przecież wy nie należycie do narodów, które wojnę przegrały! a u nich jest jednak weselej, niż u was...

Tak. Myśmy wojnę wygrali. Wygraliśmy ją lepiej od tych, którzy ją wypowiedzieli i prowadzili. Tamtym w udziale przypadła kłęska lub zwycięstwo, zdobycze lub straty, nam — coś, co przekroczyło zwykłą normę korzyści moralnych i materialnych: niepodległość! A jednak ruszamy się ospale, jakby pod niezdetną narkozą przygnębienia. Wkładamy we wszystko: w czyn twórczy, w pracę, w zabawę — tylko pół duszy, jakby druga jej połowa zaprzędana była w niewolę jakimś tajemnym siłom, wprzegającym ją w jarzmo nieszczęścia. Uśmiechamy się zawsze tylko kącikami ust, cieszymy tylko zakamarkami duszy. Nasza radość nie umie wyjść na rynek, na ulicę, ale chyłkiem przemyka się po krętych zaułkach, jakby nie królową była, ale pokutnicą. Tam, gdzie innym narodom gardła chrypną od krzyku, a dłonie puchną od oklasków — podczas obchodów narodowych, w momentach zbiorowego entuzjazmu, kiedy tłum zmienia się w wulkan, w ocean ryczący — u nas panuje grobowe milczenie, podbiegunowy mróz i lodowata poprawność. Stoimy sztywni, uroczyści, zapięci pod szyję. Nie ludzie, ale kolekcja urzędowych mane-

kinów, których sam widok może zamrozić najpłomienniejsze porywy.

Darujcie mi trochę śmiałe porównanie, ale my wszyscy jesteśmy, jak ta Mela Dulka, biedna, anemiczna i sentymentalna panienska, co to sama mówi o sobie, że przecież wszyscy są dla niej dobrzy, a tak jej jest, jakby ją spotkała wielka krzywda! Otóż i my zawsze czujemy się skrzywdzeni, niewiadomo przez kogo i obrażeni, też nie wiemy, na kogo. Ale z tą bezimienną krzywdą i bezoosobową obrazą obnosimy się, jak ze sztandarem narodowym, i powiewamy nim przy każdej sposobności, z gestem pełnym ostentacji, jakby od umiejętnego manewrowania nim zależało otrzymanie chlubnych odznak od współczesnych, a uznania i pośmiertnej czci—od potomnych.

Zapominamy, że rasa „królów na wygnaniu” dawno wymarła i że malkontent jest największym szkodnikiem społecznym, bo, nie protestując i nie walcząc z niczem wyraźnie, nie wnosząc żadnych pozytywnych wartości — podkopuje już istniejącą swoją nieufną, a często wrogą postawą wobec każdego poczynania innych.

Rzecz dziwna: my, którzy tak dbamy o to, co o nas pomyślą lub powiedzą, genialni mistrze ceremonji, jasnowidze konwenansu, rekordziści salonowego wykwintu i reprezentacji—nie umiemy się zdobyć na to, co jest solą każdej uczytowej towarzyskiej: na szczyptę szczerego, bezpośredniego humoru, na salwę śmiechu, który jest niepodrobionem świadectwem fizycznego i moralnego zdrowia narodu.

Nasz uśmiech jest konwencjonalną, zdawkową monetą grzeczności, reklamą świetlną, która maskuje pustkę nudy i zblazowania. Nie umiemy bawić się tanio, a poprostu: trzeba nam zawsze wielkopańskiej dekoracji. Któżby z nas odważył się przetrząść swoją dostojność na karuzeli, albo młynie djabelskim, bez narażenia na szwank nieposzlakowanej opinji „człowieka ze stanowiskiem“?! A tymczasem rozmaici dygnitarze paryscy z upodobaniem jeżdżą na świnkach i huśtają się w koszykach podczas „foire’y” w Saint-Cloud, i nikt im nie ma za złe, że po złożeniu egzaminu dojrzałości w pracy,—pozwalają sobie być dziećmi w zabawie.

Kiedy parę miesięcy temu w Rzymie pewne osobistości urzędowe, chcąc przypodobać się Mussoli-

niemu, zaczęły na oficjalne uroczystości przywdziawać czarną koszulę do fraka lub zakietu—impulsywny „Dux” wykrzyknął:

— Dość tego! Wyglądacie, jak karawaniarze! Czarna koszula jest mundurem ćwiczeń i pracy, ale nie strojem balowym. Faszyci muszą być pogodni i weseli. Faszyzm niesie radość i życie, nie posępność i śmierć!

Tak mówił wielki dyktator, pod którego żelazną dłonią zakwitły Włochy. Ten mocny człowiek rozumiał i posiadał nietylko tajemnicę władzy, ale i tajemnicę uśmiechu. A my? Ilekroć jestem na jakimś większym balu, raucie reprezentacyjnym, czy innej dobroczynnej udręce i patrzę na tę defiladę wystrojonych, poprawnych, sztywnych tłumów, na ten „kwiat inteligencji”, który nie ma ani świeżości, ani uroku kwiatu, a który całą swą inteligencję zostawił przy warsztacie pracy, zamkniętą na kluczyk w amerykańskim segregatorze—tyle razy porywa mnie nieprzeparta chęć zawołać:

— Dość tego! Zrzućcie z waszych dusz te czarne koszule! Zdejmijcie nareszcie żałobę po zamkach na lodzie, po utraconych królestwach, którychbyście i tak nie zdobyli; po szklanych górach i biczach z piasku, nad których kręceniem wyschły wam mózgi i spopielały serca! Wyjdźcie z zakładu życiowych paralityków, do któregoście się dobrowolnie zamknęli, na ziemię udeptaną stopami milionów! Zamiast zamków na lodzie, budujcie jasne domy dla ludzi; zamiast marzyć o straconych królestwach, ubiegajcie się o koronę—choćby króla karnawału; zamiast szklanej góry, weźcie do ręki szklenicę pełną wina lub miodu, a zamiast czcigodnie kręcić doktrynerskie bicze z piasku, — śmiało, po „parobczańsku, palnijcie z bata na wiwat!

Bądźmy dojrzałi w pracy, młodzieńczy w porywie, dziecinni w zabawie. A wówczas starość, która przyjść musi, nie będzie deską do trumny, ale srebrną klamrą, spinającą ten tryptyk ludzkiego żywota w zaciszną kapliczkę pogodnej zadumy.

A dzieci nasze błogosławić nas będą, żeśmy do ich wyprawki niemowlęcej włożyli talizman szczęścia: zwycięski dar uśmiechu, zanim życie zdążyło przed nimi otworzyć swoje dobre i złe tajemnice.

Stefanja Podhorska-Okołów.



ANNA Z KRAJEWSKICH NAKWASKA

KRAKÓW I WARSZAWA W 1813 ROKU

Znana z przekładu „Malwiny” na język francuski i z szeregu oryginalnych powieści, po polsku ogłoszonych w pierwszej połowie XIX w., wojewodzina Anna z Krajejskich Franciszkowa Nakwaska, jak wiadomo, pozostawiła po sobie ciekawe pamiętniki, opisujące czasy Księstwa Warszawskiego. — Ustępy z nich zostały rychło po jej śmierci podane przez Józefa Korzeniowskiego w „Gazecie Warszawskiej” (1852 r. Nr. 197 — 219) oraz powtórzone później w „Kronice Rodzinnej” (1891 r.).

Niestety, rękopis tych pamiętników, które w owych czasach nie mogły być ogłoszone w całości, jest niedostępny dla badaczy i nawet nie wiadomo, gdzie się obecnie znajduje. — Coprawda, istnieją dwa zbiory jej bardzo obszernej korespondencji z siostrą Teresą baronową Rastawiecką — jeden w Krakowie — wykorzystany częściowo przez J. Falkowskiego w miłych „Obrazach z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce”, drugi w Poznaniu, — zupełnie dotychczas nieznanymi, — obejmujące łącznie lata 1799 — 1830 — i zastępujące w pewnym stopniu jej wspomnienia; w każdym jednak razie szkoda, że najlepszy, niewątpliwie, utwór tej polskiej autorki, skrzący się barwami życia polskiego za czasów napoleońskich i drgający dowcipem, — pozostaje wciąż nieznanymi. Posiadacze tego rękopisu powinni — naprawdę dla pożytku ogólnego — udostępnić go jaknajprędzej i przysporzyć w ten sposób laurowego listka jego autorce, a czytającej publiczności dostarczyć bardzo miłej i sympatycznej lektury.

W bogatym zbiorze rękopisów, który w czasach ostatnich przybył do Warszawy z Rapperswyłu, znajduje się znany zaledwo specjalistom-historykom ustęp z tych pamiętników, odnoszący się do przeżyć autorki w Krakowie, podczas jej pobytu na przymusowej emigracji w 1813 r., kiedy wszystkie urzędy ks. Warszawskiego wywakuowały się z Warszawy przed nadciągającymi wojskami rosyjskimi (Franciszek Nakwaski zajmował wówczas stanowisko prefekta Warszawskiego) — oraz w Warszawie, po powrocie z pod Wawelu. Ustęp ten jest tak ciekawy ze względu na zawarte w nim wiadomości i tak charakterystyczny dla pióra autorki, że musimy go podać na tem miejscu do wiadomości szerszego ogółu w przeświadczeniu, iż może to przyczyni się do rychlejszego ukazania się z ukrycia tak upragnionej przez każdego miłośnika literatury pamiętnikarskiej całości.

Miło mi jest przytem złożyć serdeczne podziękowanie p. pułk. M. Łodyńskiemu, dyrektorowi Centralnej Biblioteki Wojskowej, i p. dr. Lewakowi, dyrektorowi biblioteki rapperswyłskiej za pozwolenie ogłoszenia tego fragmentu.

Wkońcu zaznaczam, że korespondencja Anny Nakwaskiej ukaże się w dwóch tomach w ciągu najbliższego roku w mojem opracowaniu.

Adam Czarłkowski.

* * *

KARNAWAŁ W KRAKOWIE 1813 R.

„Kraków, długo opuszczony i osierocony z wszelkiej tegoczesnej świetności, zajaśniał w r. 1813 raptem ostatnim blaskiem ginącego narodu. Rząd, wojsko, zagraniczni posłowie, obywatele z różnych części Księstwa Warszawskiego, kobiety, dzieci i starcy z przyległych departamentów, — wszystko to zalegało ów ostatni kraniec rodzinnej ziemi, wszystko to stła-

czało się do niego, jak owi Trojanie, ostatniego swego przytułku w murach starożytnej stolicy, pod tarczą mogił i grobów swych królów szukający.

Ale, niestety! dalekie było od nas poważne tak smętnego położenia rozpatrywanie. Tańce, zabawy, miłostki zapełniały wszelkie chwile, od urzędowych prac i wojskowych ćwiczeń zbywające. Stronictwa, a nieoddzielne od nich intrzygi i znowy, powiększały niemało życie towarzyskie; a rucli nieustanny wojska przy jego reorganizowaniu, mnóstwo krzyżujących się po ulicach, miasta, zamieszkałych w niem obecnie i przebywających je w różnym kierunku rządowych i wojskowych taborów i ryszunków, obok warszawskich karet i wiedeńskich pojazdów, — wszystko to nadawało Krakowowi, temu niedawno tylko pobożnością i pokojem tchnącemu miastu, nader sprzeczną, bo ożywioną, zalotną i w porywczą ludność obfitującą postać.

Krakowianie przyjęli ten niesłychany napływ przybyszów z gościnną uprzejmością, naszemu narodowi właściwą. Zastaliśmy tu wiele domów, na zimę w mieście osiadłych, i innych, zawsze tu mieszkających. Były to po większej części znakomite rodziny, dobra w okolicy posiadające; starożytnej Polski imiona, których przodkowie wraz z królami, dawnymi kraju tego posiadaczami, pod temiż sklepieniami spoczywają. Plemienniki tych starożytnych rodzin otwierali chętnie swe podwoje szczątkom dopiero co odbudowanego narodowego okrętu, który tak srogo duma Napoleona I na nowo w nicosć pograżyła. Ależ to wyznać muszę, że w tem tak wytwornie uprzejmem przyjęciu przebijało się czasem jakieś potajemne, a wzgardliwe politowanie, do którego my, warszawiacy, mało wtedy jeszcze byliśmy przyzwyczajeni.

Dom prefekta krakowskiego, Stanisława Wodzickiego, później Senatora-wojewody, mało dla nas przybyłych ofiarował przyjemności, bo, ustąpiwszy pięknego pałacu pod Baranami panu Stanisławowi-Kostce Potockiemu i dla umieszczenia w nim biur rządowych, mieszkał on nader szczupło, a salony jego nie mogły objąć tak licznie pomnożonego towarzystwa. Ale matka jego, Zofja z Krasieńskich, ostatnia żyjąca jeszcze siostra Franciszki, królewiczowej polskiej, mając obszerny dom na Św.-Jańskiej ulicy, dawała często i poważne, i tańczące wieczory, na których starsze córki Prefekta, pełne wdzięku i dobrze wychowane, między innymi krakowskimi paniami mile się odznaczały.

Dom generalstwa Mokronoskich odznaczał się wtedy w Krakowie, jak i później w Warszawie, innego rodzaju gościnnością: Stanisław Mokronoski, nie-

gdys generał wojsk polskich, szlachetnem poświęceniem się dla ojczyzny na zawsze współrodakom pamiętnym być powinien.

W 1794 r., gdy cierpiący na podagrę, w wigilję bitwy, na której koniecznie dowodzić był powinien, rozkazał lekarzom swoim, ażeby go, bądź co bądź, od napadu tej bolesnej choroby na parę dni uwolnili,— lekarze zapewnili, że puszczanie krwi pewnym do osiągnięcia tego było środkiem, lecz że za późniejsze skutki nie ręczą. Mokronoski odpowiedział: „Na wszystko przystanę!” Krew była puszczona, bitwa wygrana, ale poświęcenie się to na całe życie pozostawiło ślady: ulegał on odtąd przez lat 28 przedłużonego życia napadom epileptycznym. Powszechnie uwielbienie i szacunek, którymi w ciągu tego czasu był otoczony, wynagradzały mu, choć w części cierpienia, z tak szlachetnych powodów wypływające.

Państwo Ignacostwo Stadniccy dali dla nas, przybyłych, kilka pięknych wieczorów. Domy Wielopolskich, Józefostwa Wodzickich i innych, od wieków w tej okolicy osiadłych rodzin, ubiegały się w uprzyjemnieniu nam naszego przymusowego pobytu w Krakowie. Czasem jednak mówiono nam z uśmiechem:

— Jakież to błąd w geografji! Dawniej Kraków był w Księstwie Warszawskiem, teraz zaś Księstwo w Krakowie mieścić należy!

Te i tym podobne, a często powtarzane przekąsy niebardzo nam, emigrantom wtedy, do smaku były. Był to jednak tylko przedświt na obcej ziemi później doznanych przyjemności.

Dom najwięcej rubaszną gościnnością odznaczający się, prawdziwe ognisko krakowskiej świetności, była to kamienica w rynku, do państwa Wielowiejskich należąca. Rodzina dosyć majątna, z ojca, matki i dwóch już dawno dojrzałych córek złożona, w niej mieszkała. Lubili oni niezmiernie gości przyjmować, a gdy ojciec i matka dane być mające wieczory układali—córki, tem jeszcze niezadowolnione, wymyślały całodzienne przejażdżki, to konno, to w powozach, czasem składkowemi obiadami zakończone,

w celu przepędzenia czasu i dnia całego w towarzystwie stawienia. Jedna z tych panien, tak żarliwie bawić się lubiących, była później żoną Jana Leduchowskiego, od 1831 r. w emigracji we Francji w stronnictwie demokratycznym odznaczającego się.

W tym to domu ponowił się drobny wypadek, podobny temu, o którym pamiętniki z czasów Stanisława Augusta wspominają. W ostatni wtorek zgromadzili państwo Wielowiejscy u siebie całe, wtedy w Krakowie istniejące, towarzystwo. Książę Józef Poniatowski, pan Stanisław-Kostka Potocki, dosyć liczne francuskie poselstwo, rezydent austriacki Nejmann, wszyscy emigranci i przedniejsze krakowskie rodziny byli do nich tego dnia na bal zaproszeni. Oświetlono wielką salę, nawet niewoskowaną, i kilka małych pokojów nad stajniami, gdzie zwykle państwo Wielowiejscy poufałych przyjaciół przyjmowali; było więc troszkę ciasno i niewygodnie tańcować, a pan Wielowiejski, układając partję whista dla pana Stanisława-Kostki Potockiego w jednym z odległych pokojów, dosyć zaniedbanych, rzekł mu niebacznie:—Tutaj jest wprawdzie szczupło, ale my mamy w tym domu piękne pokoje z oknami na ulicę, wykwintnie umeblowane i wesołe.

— Dla kogóż je pan chowasz? — zapytał p. St. Potocki z owym gorzko pogardliwym uśmiechem, który zawsze na jego ustach osiada, wzruszeniem ramion i głośnem wysmianiem, gdy na czyją niedorzeczność odpowiedzieć nie chce. Drobnostka ta, tyle śmieszności tej rodziny pomnażająca, przebiegła w okamgnieniu bal cały, i tak, jak to zwykle na wielkim świecie bywa, śmiano się serdecznie z gospodarza, korzystając aż do białego dnia z jego gościnności.

Nie pamiętam, czy w tym roku karnawał był długi, czy krótki, to tylko sobie przypominam, że poseł francuski przy naszym rządzie, pan Edward Bignon, przy końcu karnawału wielki bal dawał. Zajmował on wspaniałe i obszerne mieszkanie w Wielopolskich pałacu, na Brackiej ulicy.

(d. c. n.)





ZOFJA ROŚCISZEWSKA

NOC KARNAWAŁOWA

*Ta miejska noc gorąca jest od pocałunków, od pieszczot miłosnych się pali,
W ciemnościach się odnaleźli kochankowie, co za dnia się szukali...*

*Ta miejska noc pachnie pudrem, dymem, jazz-bandem i młodem ciałem,
Pachnie krótką rozkoszą, szczęściem kradzionem, zuchwałem...*

*Ta miejska noc, jak owoc trujący, pełna jest słodczy — goryczy,
I rozrzutna jest, i szalona, i z niczem się nie liczy!*

ALEKSANDER MALISZEWSKI

KULIG

*O, dzyngi dzwonek — o, pryski — iskry śniegu —
Piecze w oczy zimnemi igłami —
Nie zwolnimy — nie zwolnimy biegu.
Koniom skrzydła wyrosły nad łbami.*

*Na zakręcie, jak na pięcie w tańcu —
Bokiem, wzrokiem zaczepiamy o drzewa —
Pochylony w pędzie chałup łańcuch
Za sankami mknie polami naprzelaj...*

*Wierzy — gdzieżby się znalazły, jak nie tu —
Rowy — sowy śpią przy drogach i straszą —
Na topoli księżyc nakształt sztyletu
Płynie ku nam, by ugodzić w pierś naszą...*

*Hej! — Strzelajmy ze sztucerów do celu
Wgórę! — ognia! — Kula w gwiazdę się weprze —
Wtedy niebo blaskami w nas strzeli —
Będziem łykać świetliste powietrze...*

*Coraz silniej dmucha wiatr w oczy —
(...W dali światło gdzieś w oknie zgasło...)
Nagle wiatrak przed nami wyskoczył:
— Stój! — Hasło?! —*

*Droga dziwnie wgórę pnie się,
Księżyc śmiesznie policzki nadął —
— Oh! la-la — panie! — sanie — niesie —
Lecimy — głowami — nadół...*

LUCYNA KRZEMIENIECKA-WOLICOWA

KARNAWAŁ

*Stroimy się w sztuczne złoto, wśród wielkich, bogatych miast.
Kochamy się kolorowo: czerwono, zielono i pstro.
O jakże pięknie migocze złociste confetti gwiazd!
Pod krągłą maseczką księżyc jak wabnie uśmiecha się noc!*

*Radosne odbłaski kinkietów. Tysięcznej orkiestry gra.
Fałszywe połyski brylantów, krzyczących sukien pons.
W zimowej sali świata, w mazurze rozhulał się wiatr.
Ametystowy kontusz przywdziała odświętna noc.*

*Na wargach, krytych karminem, drży tanich zwycięstw śpiew.
W sercach, jak w sali balowej domina myśli lśni.
Słuchajcie! Za siódmą rzeką, na sonej, lodowej krze
Tańcząca na śnieżnych sobolach, królową balu jest — Noc.*



EWA SZELBURG

DOBRA WRÓŻKA

(opowieść karnawałowa)

Pan, owszem, nie miał nic przeciwko temu (sala Imperialu łączyły się przecież z Casino, gdzie „siostry Bettemhe“ i tego wieczoru będą popisywać się bliźniaczą gibkością wcale nie siostrzanych ciał), ale Pani nie chciała o tem nawet słuchać.

— Doprawdy, tylko ktoś, tak nieznający życia, jak ten zabawny Eryk, mógł zaproponować coś podobnego!

Ale Eryk nie ustępował. Jego chłopięce, gładkie oczy przedarły się śmiało przez gęstwinę rzęs i nagle runęły na Panią, zatapiając ją w sobie!

— Może... może więc i nie przesadza, że zależy mu na tem bardziej, niż... niż...

Jednym słowem, Pani się zdenerwowała.

— Nonsens! dzieciństwo! poetyckie fanaberje! Może w fartuchu z sali przyjąć Kasy chorych? albo w tej wyświechtanej już crêpe-satin sukience? akurat będzie „kostjum charakterystyczny“! no nie? cóż?

Bez względu na bliskość sąsiednich stolików i par, dancujących tuż za plecami, z całą satysfakcją rzuciła na głowy obu mężczyzn pełną garść drobnych, zapraszających słów, zmiętych w nagłej złości.

Mąż nieznacznym wzruszeniem ramion uwolnił się od krzyczącego ciężaru tych słów, ale Eryk z upodobaniem śledził ich drżące i bezradne, właściwie, polatywanie.

Przecież te kochane, głupie, drobno pocięte słówka były garściami nieco zamocno i nieco niezręcznie rzuconych confetti!

Ona sama o tem nie wie — a słowa te są wszystkie różowe! różowe! różowe! a może nawet... szkarłatne.

Ach, jakże Eryk kocha tę małą Mariję od wczoraj wieczora! I napewno będzie ją tak jeszcze kochał jutro.

— Czy Pani naprawdę nic o tem nie wie, że jest Pani królową? — pyta w hallu, przyklękając przed nią na jedno kolano. (Nakłada na jej cudne nóżki, w pończoszkach z prawdziwego jedwabiu, zabłocone i zlekka przydeptane boty).

Oczywiście, Pani spogląda na niego, jak na warjata.

...Nno, nie... właściwie, jak na strasznie miłego, strasznie ładnego chłopca, który...

Ostatecznie, gdy samochód stanął przed bramą na Przechodniej, stanęło na tem, że —

Owszem, kiedy tak, to niech Eryk spróbuje. Niech znajdzie zaraz, dziś, taką osobę, któraby właśnie podjęła się to zrobić na jutro. No tak. Na jutro! I to najpóźniej na godzinę siódmą wieczorem. Przecież trzeba przy-

mierzyć, mogą być poprawki. Więc, jeśli mu się to uda... Ale to nonsens, oczywisty nonsens! Kto będzie miał czas z dziś na jutro, teraz, w samym środku karnawału?

Tak. Na tem stanęło.

Eryk, znalazłszy się w śródmieściu, spojrzął na zegarek. Była dziewiąta. Uznał, że jeszcze ma przed sobą sporo czasu do dwunastej. Nikt przecież tego nie robi, tylko jakaś dobra wróżka, a wiadome jest każdemu z dzieciństwa, że północ—to najlepsza pora dla czarów. Nawet w wielkiem mieście.

Zaczął więc chodzić z tłumem przechodni to w tę stronę, to potem w przeciwną. Nagle zatrzymał się przed jakąś wystawą, zarzuconą programami karnawałowej zabawy w „Imperial“, bo rekoszetem uderzyła go myśl, że może to rzeczywiście jest nonsens, „poetycka fanaberja“...

W tejsze chwili został trącony w ramię przez jakąś osobę. Obejrzał się odruchowo i aż krzyknął.

Postać, która go minęła, długa była i cienka, jak miarka krawiecka. Na głowie, zakończonej supelkiem włosów, tkwił kapelusz mały, jak napastrzek.

Czyżby to była właśnie Ona?

Eryk puścił się pędem za nieznajomą.

Tak, to była z pewnością Ona.

Szła sztywno, jak manekin, nie zwalniając, ani też przyspieszając równo stębnowanych kroków.

Przyfastrygował się nieznacznie do jej cienia i skręcał za nią z ulicy w uliczkę, z uliczki w zaułek, z zaułku w bramę... Zniknęła mu u szczytu kręconych schodów, między jakimiś drzwiami.

Szedł więc teraz na oślep, przeskakując po dwa schody. Czuł się trochę głupio i mruczał pod nosem nie wiadomo skąd zaplątane na język dziecinne wierszydło:

— Boża krówka matka,
ubrała córeczkę
w nowiutko uszytą,
kрасną sukieneczkę
i tak ją przestrzega:

— Słuchaj, córuś miła,
żebyś tej sukienki
niczem nie zbrudziła!

Nad wieczorem córuś
powraca do mamy
— ma na kрасnej sukni
wielkie, czarne plamy...

— Coś robiła? gadaj,
bo pójdziesz do kątki!
— To... mnie... całowały
małe murzyniátka...

— Cha-cha-cha! — roześmiał się, nie wiadomo, ze siebie, czy z tego wierszyka, i już bez tremy zapukał do pierwszych drzwi, z poza których docho-
dził głośny jazgot maszyny.

Musiał zapukać jeszcze dwa razy, zanim jazgot ucichł i powiedziano mu: „proszę!”

Wszedł.

Maszyna, obłaskawiony wilk żelazny o jednym zębie, szczerzyła gniewnie, warknęła i zmlkła. Z nad jej chudego grzbietu podniosła się twarz ob-
ciągnięta znoszonym, spelzłym i zgrubiałym jedwa-
biem skóry. Czarne aksamitki brwi wygięły się pyta-
jąco.

Eryk natychmiast przystąpił do rzeczy:

— Pani jest ta, której szukam. Tak. To pani jest tą dobrą wróżką. Proszę się nie zapierać. To się na nic nie przyda. Ja wiem.

I choć czarne paciorki oczu przesunęły się nie-
spokojnie po całej postaci Eryka, a białe, jak kreda, palce wykonały maleńki, ale pełen trwogi, ruch — Eryk nie dał się zbić z tropu.

— Ja wiem, ja wiem, jak pani to wszystko robi. Mówiły mi dzieci, czytające bajki. Bardzo prosto pa-
ni to robi. Tak prosto, że nawet samej pani wyda-
je się to rzeczą zwykłą.

Oto bierze pani coś, co jeszcze nie ma żadnego kształtu, ani przeznaczenia, i mówi pani mniejwięcej tak:

— Tak krawcowa kraje,
jak materji staje...

Potem bierze pani zaklętą igiełkę ze złotem uszkiem i rozkazuje jej pani:

— Igiełko-siostro,
masz bródkę ostrą,
szyj prędko i prosto!

I oto... i oto

— na czyjeś zażądanie,
na pani rozkazanie,
jak trzeba, tak też się stanie.

— ...Ależ, panie... — przez twarz, zwróconą ku mówiącemu, przefastygował się nikły uśmiech.

Eryk w ferworze mówił dalej:

— Bo może pani nawet nie wie, co pani może? Ja pani powiem: Pani może wszystko!

— Cóż znowu...

— Ależ tak. Zareczam pani. Pani umie czaro-
wać, jak każda, zresztą, wróżka.

— Cza-ro-wać? — uśmiech stał się nagle tak wyraźny, jak nitka czerwonego jedwabiu.

— Tak, władza pani jest nieograniczona. Pani może — przysunął się do samego stołu i wpił oczy w powstałą od maszyny szwaczkę — pani może swo-
ją zaklętą igłą ze złotem uszkiem każdą kobietę za-
mienić, w co pani zechce: w kwiat, w ptaka, w gwia-
zdę, w cyganekę, w królową...

Ona zdążyła już ukryć rumieniec i roześmiała się zwykłym, grzecznie obojętnym śmiechem:

— Ach, pan zapewne ma na myśli jutrzejszą wielką maskaradę w Imperialu?

* * *

Odmówiła stanowczo.

Nie robi.

Ale gdy wziął za klamkę, zmieniła raptem po-
stanowienie.

Zrobi.

Jutro na siódmą.

Nazajutrz o północy (jest to najodpowiedniejsza godzina czarów, nawet w wielkiem mieście) z urzęd-
niczego mieszkanka Bonnetów wyszła majestatycznym krokiem cudnej urody Królowa w olśniewającym dja-
demie na królewskich włosach, i rozkazała się wieźć swojemu paziowi do sali Imperialu.

Idzie cudna Królowa środkiem wspaniałych sal. Rozstępuje się przed nią tłum.

Chylą się w kornym zachwycie wszystkie głowy.

Przyklęka paż na jedno kolano, aby poprawić Najjaśniejszej Pani perłowe pantofelki.

Marja myśli:

— Jakże ja mogłam kiedyś nie wierzyć w to, że jestem prawdziwą królową!...

A na drugim końcu miasta, chuda i sztywna, jak manekin szwaczka uśmiecha się miękko do swe-
go oswojonego żelaznego wilka i w zamysleniu obra-
ca w palcach zaklętą igłę o złotem uszku. Szepcze:

— Jakże ja kiedyś mogłam nie wierzyć w to, że jestem wróżką!

A Eryk?

Nic nie wiem, co myślał sobie Eryk.

NASZ DODATEK POWIEŚCIOWY

„TYDZIEŃ W RAJU” — MARINO MORETTI

Autor książki niniejszej jest świetnym znawcą duszy dziecięcej w jej najtajniejszych głębinach. To też jego po-
stacie dziecięce nie przemawiają do dzieci, lecz do ludzi dorosłych. Ich przeżycia trafiają do głębi naszych serc i umy-
słów. Dzieci — bohaterowie jego utworów, stają się... naszymi mistrzami.

Psychologja małej dziewczynki splata się tu w niezwykle ciekawy sposób z psychologją matki, artystki teatralnej,
unaoczniając doskonale światopogląd osób dorosłych, ze stanowiska dziecka, rozbijającego nas swą naiwnością i prostotą,
pełną uroku.

DUSZA TAŃCA



Poprzez gwar słów, głośnych dźwiękami orkiestry, poprzez wrzaski jazzband'u, poprzez jaskrawy zgiełk wielobarwnego balowego tłumu — przemawia dusza tańca. Przemawia do tych, co słyszeć ją umieją. Dusza tańca jest syntetycznym wyrazem dusz tańczącego pokolenia. Tempo tańca ściśle odpowiada tętnącemu pulsowi współczesnego życia. I dlatego mazur, taniec majestatu i dostojności, miarkującego żywiołowe porywy krwi, tańczony przez ludzi dwudziestego wieku, — jest zawsze jedynie parodią. Rewolucja francuska, ścinając pudrowane [główki wdzięcznych margrabinek, zabiła wraz z niemi

wytworne dusze gawota i menueta. Tańczono je jeszcze potem, ale były już tylko martwą formą. Próżno jest rzucać anatemy na niemoralność i brzydotę tańców współczesnych: są takie, jakimi być muszą; ich rytm jest gorączkowym rytmem naszego pokolenia. Posłuchajmy lepiej, co mówią:

CHARLESTON:

— Jesteśmy marjonetki, które los pociąga za sznurek. Jesteśmy kartonowe pajace, śmiesznie podrygujące w takt muzyki. Śpieszymy się ogromnie, choć stoimy wciąż w miejscu; śpieszymy się niezmiernie, bo inni nas już gonią, gonią... musimy koniecznie nadążyć... nie wiemy właściwie, za czem. Odbijamy się, jak piłeczki dziecinne, od lśniącej powierzchni posadzki. Drwimy sobie z prawa równowagi: oto już obie nogi mamy w powietrzu, jedziemy wgórze, zwyciężyliśmy przestrzeń... i znów opadamy na ziemię, i znów rozjeżdżają się nam śmiesznie stopy! Znów trzęsiemy się i drgamy na miejscu — kartonowe pajace — które niewidzialna ręka pociąga za sznurek!

WALC - BOSTON:

— Mamy krynolinki z tiulowych riuszek — jak nasze prababki. Do krótko ostrzyżonych główek przypięliśmy loki biedermyerowskich dam. We dnie roztrącałyśmy innych i byłyśmy potrącane w okrutnej

gonitwie za groszem, lecz wieczorem chcemy marzyć i być kochane — jak nasze prababki. Ach, tańczyć! aby zapomnieć o nudnym „dzisiaj” i nieżnośnym „jutro”! wirować wokółko, aż zniknie z oczu cały znany świat i nawet obojętna twarz przygodnego tancerza! Wirując, wtańczyć się w kraj snów, tem cudniejszych, że są nieuchwytnie. Lecz co to?... Zabrakło nam tchu?... Jak tętnią skronie!.. Jak młotem walą serca!.. Więc jednak mamy serca! I te serca, zmęczone i chore, ściągają nas z zawrotnej krainy snów (jak szybko!) na ziemię. Dość upojnego wirowania w zaświaty! Teraz robimy wolne, posuwiste pas bostona. Powrót do rzeczywistości...

BLACK - BOTTOM:

Figura pierwsza: murzyn wylazi z błota. Figura druga: murzyn się otrząsa. — O tak, tak! Jak to przyjemnie nareszcie wyleźć z błota! Jakże rozkosznie jest otrząsnąć się raz na zawsze! Ale błoto nie wypuszcza tak łatwo. Lepkie jest błoto i czepkie. Gdy wyciągnąć jedną nogę, jeszcze głębiej grzęźnie druga. Mocno trzymaj swą zdobycz błoto. I każdy z nas jest murzynem — murzynem, trującym się ponad siły dla nieznanego, dalekiego pana. I każdy z nas usiłuje wyleźć z błota. I każdy otrząsa się, otrząsa się, otrząsa, otrząsa... — Brrr... (to powiedziała orkiestra).

TANGO:

— Grają tango. Jakże smutną jest sala balowa nad ranem! Zmięte suknie, zmięte twarze, zmięte dusze... Beznadziejna samotność w tłumie, daremnie dającym zabawę. Tango opowiada o zielonych prerjach Argentyny, których nigdy nie zobaczę... Jak duszno jest w balowej sali!

Myszę o zielonych łąkach mojej wsi rodzinnej, której też już nigdy nie zobaczę. I cóż Ci powiem? i cóż Ci powiem, Ty, w którego ramionach gnę się posłusznie? Jakie miejsce, jakie miejsce Ci przeznaczę w moim życiu, tak ubogiem, a tak przeładowanym?! Kto wie, możebym Cię pokochała, gdybym miała więcej czasu. Kto wie, możebym Ci dała szczęście, gdyby życie mnie tak strasznie nie zmęczyło? Gasną światła. Gasną światła w balowej sali.

Bezlitosny, szary wdziera się poranek. Pośród zwiędłych, podeptanych kwiatów tańczmy dziś Ostatnie Nasze Tango!..

Well.



PRZYGODY BŁĘKITNYCH MOŻLIWOŚCI

Sucha postać z kąta uniosła się nieco z ponad ksiąg.

— Tak jest, panie szefie. Dziesięć dolarów i trzydzieści trzy centy.

Wyciągnęła z oburzeniem paczkę zużytych banknotów z torebki i cisnęła na stół, blada z oburzenia.

— Dostałam, owszem! Nie zaprzeczam! Ale pan rozumie, że, znaczy, muszę zostać na bruku, tutaj, gdzie nikogo nie znam. rozmówić się nie potrafię i gdzie mi tych dolarów starczy na — czy ja wiem?! na tydzień, na dziesięć dni, żyjąc nędznie! Pan, który tyle mówił, kiedy chodziło o pracę za te psie pieniądze — pięknych słów, co do obowiązku ratowania rodaków, wspomaganie się wzajemnie, pamięci na wspólną, daleką Polskę!... Wtedy pan mówił inaczej! I miała być zawarta umowa piśmienna, tylko po przyjeździe współnika, i miałam zostać aplikantką. Przecież mam skończone prawo, przecież nie robił mi pan łaski! Właśnie na tę polskość mię pan wziął! Nie macie sumienia, nie macie honoru tutaj w Ameryce, wy, polacy! To hańba i oszustwo, cały ten wasz patriotyzm, — łapichłoptwo, byznes, jak każdy inny, i na którym, jak na każdym innym, usiłujecie oszukać, skrzywdzić i obciągnąć przedewszystkiem swoich! Hańbicie imię polskie na obczyźnie, żerujecie, jak szakale, na cudzych trupach, wyl! Dobroczyńcy! Nabieracze naiwnych! Patrzoci!

Wyrzucała z siebie słowa namiętym, zduszonym przez gniew i obrazę głosem, który był aż nadto dobrze słyszalny w dwu zaczajonych nagle bez ruchu pokojach, pełnych ludzi. Zdawało się, że martwe milczenie tworzy jakgdyby nieme zgoła tło dla gorącego protestu, który znalazł nareszcie głos, po długoterminowym milczeniu, wewnątrz skurczonych, drobnych postaci nad biurkami. Ukosy spojrzeń, lękliwych, ale pełnych nadziei, biegły ku miejscu rozprawy.

Podziw zastraszonej, zadawnionej nędzy tych oczu był sam przez się, jak obelga. Ach! Zapalona absolwentka prawa nie przeszła jeszcze lat martyrologii wychodźczej, która wyżera z człowieka wszystkie uczucia, oprócz jednego, nad życie potężniejszego: głodu. W imię dolara umiano, jak gumowe dziecko z cyrku, wywracać przekonania podszewką do góry i zwiijać się w najusłużniejsze kółko uległości, w milczący kłębek pokory, który toczył się kątami życia, byle zła noga nie wykopnęła go z tego najnędzniejszego istnienia w jeszcze straszniejsze, bo nieznanne — w śmierć.

Młoda prawniczka rozpoczynała dopiero gehenę wychodźczą. I kierowała się, jako nowicjuszka,

naiwnym przekonaniem, że prawo istnieje poto, aby życie chodziło jego drogami! Praktyczniejsi wiedzieli, iż raczej — lubiło je okrażać. I że kunszt prawnika polegał właśnie na kunsztownym obchodzeniu paragrafów, które, zdawałoby się, są alfą i omegą istnienia.

Gładko wygolona twarz jej pracodawcy skurczyła się niedostrzegalnym grymasem. Na chwilę błysnęły z pod króciutkich wąsów zęby, jak u buldoga, który chce gryźć. Powoli jednak, pod wpływem nowej myśli, zaczęła się wypogadzać coraz więcej, aż rozjaśniła się niewielkim uśmiezkiem, który drgał, jak żądło, zanim ukąsi. Nie zmieniając postawy, nacisnął dzwonek na biurku i, patrząc prosto w oczy panience zmrużonemi, czelnemi i ładnemi oczami, wycedził z wyraźną ironją:

— Tak... namiętne wyrzuty słyszałem tylko od kobiet, którym się zdawało, że powinienem się z niemi ożenić. Ale pani — zdaje się — nic podobnego nie obiecywałem. Zaś jako kontraktowa pracowniczka bez umowy, obrała sobie pani bardzo niefortunną drogę do... przekonywania szefów. Panie Kaszubski! Proszę oddać tej paninie jej pieniądze i odprowadzić do wyjścia. Od dziś nie będzie u nas w biurze.

Krew gorącym płomieniem buchnęła na twarz bojowniczkę prawa. Otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale nagle łyzy wezbrały w gardle tak przemożną falą, że słowa utonęły w nich, jak w słonem morzu. Obróciła się ostro, bez słowa, na obcasach i, czując na sobie chłostę ironicznej pogardy, towarzyszącej zawsze zwyciężonym — zamknęła za sobą drzwi biura. Szeroki świat możliwości, a może — wąski dół, ostatnie schronienie bezdomnych — leżały przed nią otworem.

* * *

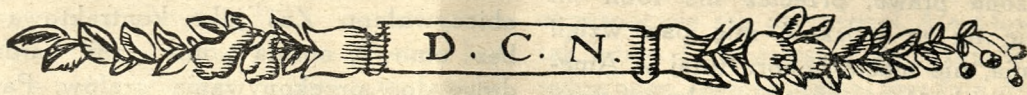
Błękitne półkole morza podbiegało raz poraz cichemi, pieszczotliwemi szumami do samego skraju murawy, na której tu i tam widniały rzucone leniwie ławki. Było tu złoto od słońca, błękitno od oceanu, radośnie od strzyżonych gazonów i kwiatów skweru, świątecznie od różnobarwnych flag stateczków, łodzi i motorówek, yachtów i wszelkiego sprzętu pływackiego, których pełno barwiło się w tem zaciszu słonecznego portu. Był to salonowy porcik, port „na niby” — uśmiech oceanu ku mrocznym ulicom dolnego Broadwayu, spełzającego ku wodzie, jak nieskończony smok. Wywijął swe skręty aż gdzieś z najdalszych osierdzi śródmieścia, ażeby łyknąć słońca, wody i powietrza. Prawdziwe, ciężkie, czarne od smoły i piekielne hukiem maszyn, oraz hakami dźwigów porty, z ciężkimi kadłubami okrętów, leżały się gdzieindziej.

Tu — była niejako tylko ich minjatura — dekoracyjna perspektywa na morze, jakgdyby specjalnie urządzone dla wspaniałej Wolności, wylaniającej się u dalekiego wylotu zatoki w ocean, jak szpizowa Venus nowoczesnej cywilizacji, z kamienia i żel.-betonu. Za jej monumentalną sylwetką, kontrolującą niełaskawym okiem przychodzące z cudzych krajów okręty: rozpościerał się ocean. Za nim była błękitna mgła, a za mgłą — Polska. Wystarczyło tylko natężyć wzrok, tylko troszkę rozgarnąć błękitne zasnućia, lżejsze od rannych tumanów — a kto wie, czy nie ujrzałoby się odrazu wiadomego domu w Kutnie, gdzie teraz już kto inny podcinał jabłonie na wiosnę — i może już nie dba, aby naprawiać gniazda na kole dla wiernego, kulawego bociana?

Nie! Wracać nie miała dokąd, ani też — do kogo. I zresztą, czyż poto były szalone zabiegi i trudy, tysiączne drobniauchne oszczędności, z których urosło konieczne minimum za przejazd? Takie ogromne minimum dla jej budżetu, z którego odjąć cokolwiek — samo przez się było już dziwną sztuką! A jednak odjęła, a jednak przewalczyła, a jednak, nie mogąc otworzyć — rozpaczliwym rzutem własnego ciała wy-

biła okno, gródzące jej drogę w świat! I pojechała i jest! I oto jest! Jest w tym szalonym, niebosięznym New-Yorku, w którym niewiadomymi drogami ludzie — tyle, tyle ludzi! podochodzili do milionowych fortun, porobili majątki, wybłysli z nicości, jak wspaniałe meteory na niebie zazdrosnej, ale już wielbiącej, już czolobitnej pospolitości! Ach! Wybić się ponad szaryznę!

Zabłysnąć — bodaj raz tylko, bodaj na krótko — ale tak, aby w tem zdobytem przemocą zazdrosnym bogom, jak u Prometeusza, świetle ujrzały ją wszystkie wzgardliwe, litościwe, niewidzące dotąd oczy! Sypnąć dolarami przed obleśne gęby, które zamykały się przed nią, ubogą żadnością bez koligacji i znaczenia, jak książka rachunkowa, na kłódkę! Uśmiechnąć się raz w życiu powolnym, wykwitającym, jak chłodny poranek, na ustach uśmiezkim na widok skwapliwych ukłonów, nieruchomych dotąd kadłubów — i odwrócić, nie spostrzegając skwapliwości wyciągniętych, „gratulujących tak szczęśliwego obrotu sprawy” rąk! Wylecieć wgórę wysoką gwiazdą z nizin, w które ją pchnęło złe życie — a potem bodaj na wieki zapaść się już w mrok!



W. MIŁASZEWSKA

31

KACZĘTA

(powieść)

— Ciocia znów swoje! — skrzywiła się Adelka — moja ciociu! takich małżeństw, gdzie byłyby i pieniądze, i miłość, i szacunek, i piękno, i — nie wiem jeszcze, co — dzisiaj ze świecą nikt nie znajdzie! Ciocia mówi o miłości, jakby czytała z książki, ze staroświeckiej powieści. A nad tą Herminką niepotrzebnie się ciocia roztkliwia. Nikt jej przecież do ołtarza nie ciągnie, nawet własny tatuś trochę się wzdragał: sama Tomkowi lezie w objęcia!

W tej chwili ktoś wszedł do przedpokoju. Adelcia umilkła, a potem jak się nie zerwie! W sekundę była już za drzwiami. Usłyszałam jeszcze trzy słowa:

— Ach! mąsje Żak!

Bo i to także nowość u nas: od miesiąca mamy lokatora, francuza. Mieszka w dawnym Tomka pokoju. Nazywa się Jakób Duprerie, przyjechał z jakąś „misją“, których tu teraz od roku mamy pełno. Nie wiem, co robią te wszystkie „misje“ w naszym kraju, ale wiem dobrze, co wyrabiają cudzoziemcy, którzy tu przyjechali wczoraj, a jutro pewnie odjadą: zawracają głowy młodym dziewczynom z porządnymi domów!

Wyjechałam ze Stasiem do Kopytowa w Lipcu Adelcia się tym razem na gospodarstwie została. Wracam pod koniec sierpnia — i co zastaję? Przedewszystkiem, zastaję w przedpokoju francuską czapkę wojskową. A potem wybiega naprzeciw mnie Adelka w białej sukni (prawda, że podczas upałów trudno chodzić w grubej żałobie, więc jej tego za złe nie wzięłam, broń Boże!) i odrazu z punktu oznajmia:

— Wie ciocia? Mamy lokatora!

— Lokatora? — zdumiałam się — A to co znowu za koncept?

— Sama ciocia twierdziła, że mieszkanie za duże... — odparła na to, uśmiechając się trochę złośliwie.

— No, pewnie... Ale... od kiedyż to?

— Od trzech tygodni. Nie napisałam cioci o tem, bo tak się jakoś prędko stało. Ojczuś się zdecydował raz, dwa... Zresztą wiedzieliśmy, że ciocia wkrótce przyjedzie.

To mi się najbardziej podoba! Teofil zdecydował! Oj, ta Adelcia! Kręci ojcem, jak frygą; zawsze

zrobi, co zechce! Ale żeby tak, nie naradziwszy się, obcego człowieka do domu wpuszczać!..

Adelka, coprawda, wszystkim kładzie w uszy, że ten „mąsje Żak” pochodzi z jakiegoś znakomitej rodziny... że ma wysokie stanowisko, i że wogóle jest bardzo — bardzo. Skąd ona wie to wszystko? Gdzie go poznała? Wogóle, gdzie ona poznaje tylu mężczyzn, którzy się potem do naszego domu pakują bez ceremonji, nie spytawszy nawet wszystkich członków rodziny, czy im się to podoba?

Adelcia mówi zawsze: „u koleżanki”. Ma ona sporo tych koleżanek, a one znowu na kopy liczą znajomych. Kogo tam niema! Francuzi, amerykanie, włosi, polscy żydzi, francuscy żydzi, cywilni, wojskowi... Słowem — wybór ogromny.

Że ten pan Duprerie jest „bardzo — bardzo” to się odrazu rzuca w oczy. Przedewszystkiem — jest bardzo przystojny. Pod tym względem Adelcia ma wyrobiony gust. Lubi blondynów i szatynów z niebieskimi oczami, byle mieli wzrost okazały i długie, proste nogi. „Mąsje Żak” jest coprawda silnym brunetem i ma oczy, jak węgle, a od Adelki niewiele wyższy; ale co za figura, co za ruchy! Często widzę, jak się w przedpokoju przed lustrem kryguje! Mundur na nim leży, jak na manekinie. I sam — istna lalka! A pachnie!

Ale to jeszcze nic. Co mi się najbardziej niepodoba, to te lekcje polskiego języka z zamykaniem pokoju. Wolę już, niech sobie po francusku szwargoczą, bo choć mało z tego rozumiem, ale przynajmniej widzę...

I jeszcze jedno daje mi do myślenia: odkąd francuz zakwaterował się u nas, anglika jakiś wiatr zdmuchnęła. Lekcje skończyły się, Adelcia ojca więcej nie molestuje o profesorów, odkąd sama została nauczycielką.

Wszystko to niepokoi mię bardzo. Że też Teofil — nic! Prosiłam Stasia, żeby ojcu przedłożył, ale Staś tylko ramionami wzrusza.

— Ja, moja ciociu, do Adelki nie będę się wtrącał. Niech sobie robią, co chcą, oboje z Tomkiem. Zresztą, wkrótce i tak wyjadę z domu.

Stasiowi obiecali posadę w Sosnowcu. Mój Boże! jak on wyjedzie, to już nie wiem, co zrobię ze sobą! Coraz mi bardziej pusto i obco w tym naszym domu, gdzie tyle lat przeżyłam.

2 września

Widziałam go. Pierwszy raz po dwudziestu latach! Niebardzo się zmienił, ale postarzał, o, postarzał! Wąsy mu też jakoś spłowiały, — ni blond, ni siwe.

Prawdę mówiąc, to jeden głos pozostał ten sam. Poznałabym go chyba na sądzie ostatecznym! I może dlatego w pierwszej chwili straciłam głowę. Na moment, na jeden moment cała ta dawno pogrzebana przeszłość stanęła mi przed oczami, jakby to było

wczoraj. Bo przecież to on był — pan Kazimierz! on którego przez tyle, tyle lat...

Et, co tu się roztkliwiać! Dopiero miałyby Adelka sposobność do podkpiwania ze mnie, gdyby tak mój pamiętnik wpadł jej do ręki! Niech Pan Bóg bron!

Ale i on — i pan Kazimierz wydawał się wzruszony. Gdy weszłam do salonu, zerwał się z krzesła i pośpieszył na moje spotkanie. Potem pocałował mię w rękę (piąty raz w życiu!) i długo, długo milczeliśmy. Wreszcie pan Kazimierz ozwał się pierwszy:

— Kopa lat... Kopa lat! Jakże się cieszę, że znowu panią widzę, droga... kochana panno Justyno!

Koźnierzyk od nowej popielatej sukni trochę mię w szyję uwierał, a przytem zauważyłam zdaleka przenikliwy, ciekawski wzrok Adelki. Dlatego czułam się coraz bardziej zmieszana i dopiero, gwałt sobie zadając, odpowiedziałam z trudem:

— Ja też się bardzo cieszę...

A pan Kazimierz skinął na córkę:

— To moja jedynaczka. Pozwoli pani, droga panno Justyno, — (ciągle to: droga panno Justyno!) — przedstawić sobie...

Zkolei podała mi rękę, śmiesznie jakoś dygnawszy, istotka drobna, chuda i czarniawa. Więc to jest Herminka, narzeczona Tomasza?! Aż oddech straciłam na chwilę... Adelcia tym razem nie przesadziła, nawet niedosadziła mocno. Brzydkie to, niepozorne strasznie, a w dodatku krzywe jakieś, prawie garbate. Jedną łopatkę ma wystającą i lewe ramię przynajmniej o cal wyżej od prawego. Twarz wąska, oczy blade w różowionych powiekach, włosy ciemne, rzadkie i jeszcze uczesane jakoś niezdarnie. Nogi, jak tyczki od grochu, a stopy całkiem płaskie. Słowem — brzydula. Niewiadomo nawet, w kogo się wdała, bo pan Kazimierz uchodził za bardzo przystojnego mężczyznę i do dziś jest postawny, a wędliniarka miała twarz czerwona i ważyła podobno około dwustu funtów!

Patrzyłam na nią, patrzyłam... i ciężko mi było wykrztusić cokolwiekbaż. Na szczęście, weszła Walerka z podwieczorkiem na tacy, a potem już pannę Herminę wzięła w obroty Adelcia.

Po wypiciu tej ceremonialnej herbaty i zjedzeniu ciasteczek — każdy obowiązkowo po jednym — Teofil i Tomek zaczęli z panem Kazimierzem mówić o interesach, jakby już nic nie było ciekawszego na świecie. Siedząc zboku, przypatrywałam się ukradkiem tej mojej przyszłej siostrzenicy — i nagle spostrzegłam, że nie wydaje mi się już tak potwornie brzydka. Usta ma wprawdzie blade i trochę przyduże, ale uśmiech ogromnie miły. Naprawdę, musi to być dobra dziewczyna, a na Tomka spogląda takim serdecznym wzrokiem, że mię odrazu chwyciła za serce,



PAULA LAMOWA

TANIEC I MUZYKA W EPOCE ODRODZENIA

Od niepamiętnych czasów taniec był nieodłączną rozrywką w życiu południowych narodów, ale klasycyzm jego zaczyna się dopiero w czasach renesansu. Jeszcze w XIII w. kroniki włoskie notują sławną sprzeczkę podczas zabawy tanecznej, której to epilog pozostał po dzień dzisiejszy tradycją gołąbków na placu św. Marka w Wenecji. Oto podczas uroczystości i zabawy w Tarwisie, — Padwanie — zazdrośni, że Wenecjanie zdobyli żartobliwą twierdzę najpiękniejszych kobiet, urządzoną gwoli popisu waleczności najdzielniejszych młodzieńców, — zniszczyli sztandar Królowej mórz. Za zniesławienie sztandaru zażądała Wenecja zadośćuczynienia i otrzymała je w postaci haraczu, złożonego z dostarczanych corocznie trzydziestu gołębi, którym na placu św. Marka zwracano wolność. Stąd pochodzenie gołąbków weneckich i tradycja ich, złączona nazawsze z perłą Adriatyku.

Do ulubionych zabaw należały tańce na ulicach miasta w święto „Primavera,” 1-go maja, w dniu pamiętnym dla Florencji, w którym Dante ujrzał Beatrice;



Luca Signorelli. „Grający anioł.”

taniec wyrokował nieraz o kobiecie, o jej ruchach i zręczności, wdzięku i kształtach. Światłem ogni sztucznych, które datują swój początek u schyłku XIV w., starano się tańcom nadać nieznane dotąd, niesamowite efekty, które jednakże posługiwano się jedynie w tańcach ludowych. W domach szlacheckich przestrzegano ściśle przepisów i form, związanych z tańcem, i do nieomyślnej jego umiejętności przykładano wielką wagę. Metr tańca był cenioną osobistością, a w czasach renesansowych zasłynął mistrz Lorenzo Lavagnelo. Tancmistrze towarzyszyli damom w uroczystościach, uczyli je dworności, układności, uśmiechów wdzięcznych, reweransów, przestrzegali zachowania w tańcu, w towarzystwie. Niebawem ukazują się monografie o tańcu. Rinaldo Rigoni w swoim „Ballerino perpetuo” wyczerpuje temat o wartości tańca, gdy Domenico da Ferrara w książce „Trattato di Ballo” uzależnia umiejętność tańca od muzykalności, poczucia rytmu i słuchu, który pod wrażeniem dźwięku przypomina wyuczone „pas” i kieruje krokiem w „danse basse,” „pas double” i „pas simple.” Domenico da Ferrara był twórcą ulubionego przez damy renesansowe „danse royale”. Według jego teorii, rytm opiera się na równoważniku pełni i próżni, dźwięku i ciszy, i radzi kompozytorom utwory taneczne opierać raczej na głosie sopranowym, niż tenorowym.

Guglielmo i Giuseppe, najslawniejsi tancmistrze renesansu, byli żydami, a tańce w ich układzie: „combat d’amour,” „lis fleuri” i „squilnia cascarda,” stanowiły indywidualne kreacje baletowe. Guglielmo mówi, że akompanjament do tańca powinien być czterogłosowy, ponieważ harmonja ciała opiera się na czterech żywiołach, tak, jak harmonja moralności składa się z czterech cnót.

Podobnie, jak w średniowieczu, tańczono, śpiewając, przy towarzyszeniu instrumentów. Dante i Boccaccio pisali ballady do tańca; przy tańcach zbiorowych jeden z tancerzy intonował, a chór po nim powtarzał. W „Dekameronie” Boccaccia wodzirej prowadzi jedną z tancerek na lewą stronę, a chór męski śpiewa: „E datemi questa figlia” i to tak długo, póki wszystkie nie znajdą się po lewej stronie.

Namiętnie tańczono w Lombardji, a we Florencji w pewne dni bawiono się na ulicach i rozdawano w nagrodę za taniec wianki srebrne. Urządzano wystawne bale, a obrazy baletowe wzorowano na historii klasycznej i widowiskach starożytnych. A więc, na uroczystość zaślubin Galeazza Sforzy z Izabellą aragońską wystawiono wspaniały balet: „Wyprawa Argo-

nautów po złote runo“, gdy na dworze Borgiów do programu baletów wchodziły zawsze postacie historyczne, z którymi równał się Cezar Borgia. Dlatego przepyszna wystawę dano baletom, przedstawiającym triumf cesarza Augusta i wjazd Juljusza Cezara do Rzymu. Były także balety, wyobrażające wszystkie prace rolnika; Leonardo da Vinci namalował balet, który nazwał systemem świata. Damy światowe brały udział w baletach klasycznych i akrobatycznych, jako że w XV wieku balety i tańce klasyczne należały jeszcze do sztuki dworskiej. Dopiero w roku 1575 papież pozwolił dwu żydom z Ankony na profesję tańca i śpiewu, i w tym czasie ukazują się już pierwsze zawodowe baletnice. Jednakże taniec, który dotąd unikał szablonu i zależnie od kaprysów, upodobań, a przede wszystkim—indywidualności metra, zmieniał figuracje i otrzymywał najegzotyczniejsze nazwy,—w drugiej połowie XVI w. zaczyna już epokę swojej literatury i daje początek klasycznej suicie.

Z Padwy przychodzi moda „padovany“, albo „pavany“, najstarszego tańca suity, który rychło zastąpi niemiecka i bardziej taneczna „allemanda“, potem kolejno po sobie następują: francuska „courante“, poważna, pełna wyniosłej dumy hiszpańska sarabanda i wesoła, angielska „gigue“ a w epoce rokoka, różnorodności tańców suity dopełnią gawoty i menuety. Ale Włochy pozostają ojczyzną klasycznego tańca: Neapol, Florencja i Wenecja roją się od metrów tańca, a Medjolan staje się akademją, do której na naukę zjeżdżają francuzi, hiszpanie i Niemcy. Mistrzem klasycznego tańca mianowany jest Caroso da Sermone, twórca reweransu bez podnoszenia trenu, dla zdobycia efektu pawiego ogona. Obok tańców klasycznych, wielkie powodzenie mają tańce ludowe włoskie, jak: „siciliana“, „romana“, „fiorentina“, przy których tancerz wykazywał niejednokrotnie swą siłę muskularną podnoszeniem tancerki. Mimo całego powodzenia tańca—poza jego bibliografią,—literatura obojętnie odnosiła się do rozrywek tego rodzaju. Petrarca wysmiewał taniec, mówiąc, że dwa ciała niezgrabne, o ruchach ciężkich, robią w tańcu wrażenie humorystyczne, gdy moralisci dopatrywali się w tem podniety płciowej. Ojcowie kościoła dopiero późno mogli wystąpić przeciw tańcom, jako że św. Paweł oświadczył, iż taniec uszlachetnia. Dopiero liczne zakazy synodu wpłynęły na to, że ustał taniec ludu na cmentarzach. W XV w. tańczono w klasztorach tańce poważne, a jeszcze podczas Soboru trydenckiego, Filip II tańczy z prałatami modny taniec, z kapeluszem w rękę. Dopiero Benedykt XIV zagroził klątwą wszystkim, którzy tańczyli w poście (zdarzało się, bowiem, że w maskaradowych kostjumach przystępowano w popielec do komunji) i równocześnie zakazał tańczyć duchowieństwu. A jednak ludzie Odrodzenia uważali taniec za sztukę, równą plastyce, literaturze i muzyce, i sąd swój przekazali potomnym. Dlatego Lucien w swoim „Dialogue sur la Danse“ wy-



Luca Signorelli. „Grający anioł“.

maga od tancerza, aby znał: poezję, geometrię, filozofję, historję i bajkę, malarstwo i rzeźbę, mitologję i wszystkie zalety i wady ciała i ducha, oraz wszystko, co się działo od stworzenia świata, aż po dzień dzisiejszy.

Dama renesansowa, zajęta strojem swoim i nieustanną troską o urodę, poświęcająca resztę czasu miłości i zdobywaniu błyskotliwej wiedzy dla olśnienia płci wrogiej,—mało zwracała uwagi na muzykę. Poza tańcem i baletem, muzyka nie zajmowała kobiety Odrodzenia; dlatego wśród nazwisk sławnych, uczonych i pięknych pań z tej epoki, niema żadnej prawie, która by zasłynęła wiadomościami w grze instrumentalnej i śpiewie. Muzyka skromna, dopiero w początkach swego rozwoju, cofała się przed przygniatającem ją bogactwem plastyki, przed kwiecistym rymowanym djalogiem i całym przepychem renesansowej wiedzy i sztuki, aby schronić się w skromnej celi klasztornej i wypełnić życie pracowitej zakonnicy.

Skromne mniszki lubiły śpiewać i grać na klawikordzie, a sława ich przedostała się przez furte klasztorną i rozeszła się szeroko po świecie. Izabella Gonzaga i markiz Giustiniani jeździli do klasztoru St. Bartolomeo w Anconie, aby posłuchać dobrej muzyki, gdy w Medjolanie zasłynęła zakonnica Claudia Sessa, siostra Annunziata, która grała na wielu instrumentach i śpiewała tak cudnie, że kardynałowie odprawiali mszę w kościołach, w których śpiewała.

W Wenecji zakonnice urządzały koncerty religijne. Sławni podróżnicy niejednokrotnie pisali o muzyce włoskiej i poświęcali wiele słów uznania zakonnikom, które grały precyzyjnie na organach i innych instrumentach, tworzyły zespoły, dyrygowały i śpiewały, a muzyka nadawała im wyraz tak szlachetny, że podczas koncertu były podobne do aniołów. Jednakże Jezuita występował przeciw muzyce w klasztorach, z wyjątkiem ściśle liturgicznej, a w końcu XVI w. nie wolno było zakonnikom uczyć nawet muzyki. Jakichś czas pozwolono im jeszcze na kult teatru, na wystawianie epizodów: Abraham i Hagar, cud św. Marji Magdaleny i życie św. Teodory; wreszcie ostre zakazy Soboru trydenckiego wyeliminowały zupełnie z życia zakonnic teatr, literaturę, muzykę i wszystko, co miało styczność ze światem. *Paula Lamowa.*

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Urowadzenie z Seraju“ — *Mozarta.*
Wznowienie w Teatrze Wielkim.

Kiedy w roku 1782, pomimo intryg i niechęci, okazywanej Mozartowi przez wpływowych muzyków, zazdrosnych o powodzenie i wzrastającą sławę przyszłego autora „Wesela Figara”, wystawiono w Wiedniu „Urowadzenie z Seraju“ — cesarz Józef II, nieskłonny do entuzjastycznych uniesień dla genjusza rokokowej muzyki, zdobył się jedynie na skąpe w pochwały ocenę czarującej opery: „Piękną jest ta muzyka, kochany Mozarcie, ale stanowczo za dużo w niej nut“. „Nie więcej, Najjaśniejszy Panie, aniżeli potrzeba“, odpowiedział Mozart. Albowiem nikt inny, jak on właśnie, nie odczuwał silniej swojej epoki, broniącej się przed szarzyzną codzienności pod trefione loki białej peruki, strząsającej troski życiowe, jak pyłek z brabanckich koronek żabota, i strzegącej zazdrośnie praw swego stylu w złoceniach filigranowych mebli.

Po latach prawie stu pięćdziesięciu „Urowadzenie z Seraju“, w swojej naiwnej prostocie klasycznej kantyleny i przejrzystości koronkowej muzyki, staje się cennym bibelotem, o wzrastającej na przestrzeni lat wartości, oglądanym z największym kultem za szybą rokokowej gablotki. Jeśli dla współczesnych opera te przeładowana była nutami, to dziś, po wielu latach, gdy rozrosło się tak bogactwo muzycznego dźwięku, nie razi nas wcale, że nut tych jest — tak mało. Wartość prawdziwego genjuszu nie blednie nigdy, a tajemną jej siłą jest czarowne promieniowanie na wszystkich, bez różnicy smaku, pojęć i odpowiedniego przygotowania. Muzyki mozartowskiej słucho się po dziś dzień, jako cudownego dźwięku, nie mające-

go w słodyczy, lekkości melodji i złudnej łatwości muzycznej — żadnych tajemnic dla słuchacza. Niezrozumiała jest tylko rzecz, dlaczego z takim trudem zdobywał Mozart prawo do życia w wiedeńskim klasycyzmie, aby operę swoją przekazać nieśmiertelności.

Nie było jeszcze wtedy niemieckiej opery, ani mowy nie było o ambicji stworzenia narodowej muzyki. Podobnie, jak moda XVIII w. hołdowała nakazom Wersalu, — opera włoska była tradycją każdej sceny operowej, i jeśli kiedy muzyka włoskich autorów dała historii literatury muzycznej utwory wielkiej wartości, — Mozart niezależnie od swego pochodzenia, osiągnął w stylu włoskiej opery szczyt doskonałości, w opowie z ręcznego libretta, którego głównym dostawcą był komedjopisarz włoski Lorenzo da Ponte. Jednakże dwie opery Mozarta usiłowały stworzyć kompromis pomiędzy włoską operą „buffo“, a stylem niemieckiego „Singspiel“, jako hołd dla stolicy Austrii i budzące się poczucie godności wesołego, beztróskiego Wiednia.

Pierwszą z nich było „Urowadzenie z Seraju“, do której to opery tekst niemiecki napisał Bretzner, gdy Mozart komponował ją, przejęty szczerem uczuciem miłości do Konstancji Weber, późniejszej małżonki autora „Don Juana“. Opera, napisana z myślą o ukochanej, miała nosić tytuł „Belmonte i Konstancja“, ale narady z librecistą ustaliły jej nazwę, jako „Urowadzenie z Seraju“. Dwie partje sopranowe podzielił Mozart pomiędzy sopran liryczno-koloraturowy, o wirtuozowskim rozmachu (przeznaczony w owych czasach dla słynnej śpiewaczki Cavallieri, która pierwsza śpiewała rolę Konstancji), a sopran subretki operowej, filuternej Blondy. Mozart nie lubił tenorów i do ról ich nie przywiązywał wielkiej wagi; ale podobnie, jak fundament orkiestry oparty jest o kontrabasy, tak i wdzięk buffonistycznej opery mozartowskiej opiera się głównie o głosy barytonowe i basowe. Figaro, Leporello i Osmin w urowadzeniu należą do typów włoskiego „bassbuffo“, o niezwykłej wartości muzycznej, i te partje w operze Mozarta należą do najważniejszych, jako że tworzą nastrój komiczny, właściwy jej stylowi. Z biegiem lat arje solowe uległy pewnym skróceniom, jako przydługie; nienaruszone zostawiono jedynie zespoły wokalne: tercety, kwartety i sekstety, jako wzór skończonego piękna muzycznego.

Pewien sławny pedagog, profesor śpiewu i znakomity muzyk, mawiał zawsze, słysząc o zachwalanych adeptach sztuki śpiewaczej: „Jeśli mi zaśpiewa dobrze arję z opery Mozarta, wtedy przekonam się, co umie.“ Niejednokrotnie już uznano twórczość mozartowską za probierz śpiewaczego kunsztu. Mało nut i złudna ich łatwość stanowią właśnie największą trudność interpretacji, wymagającej wielkiej muzykalności, znajomości stylu i kultury muzycznej w wykonaniu klasycznej frazy i filigranowych ozdób-
ników.

W tem tkwi nieporozumienie: w formie, w której wznawiono w operze warszawskiej „Urowadzenie z Seraju“. Przedewszystkiem główną partję Osmina powierzono p. Wradze, dobremu, zresztą, śpiewakowi, który jednakże słabe ma pojęcie o kreacji klasycznego „bassbuffo“. P. Wraga, jako Osmin, nie był stylowy scenicznie, a głosowo niewiele pozostało z niskich tonów. Pozatem Osmin jest postacią groteskowo-komiczną, ale sympatyczną, zdobywającą widownię pokazną tuszą i pociesznymi minami turka w białym stroju i białym turbanie. Tymczasem nasz Osmin był brzydką karykaturą Niemca w szlafmicy, niewiadomo dlaczego. P. Freszel, który dowiódł w „Don Juanie“ swoich zdolności reżyserskich, tym razem przeoczył Osminą. P. Dobosz, jako Belmonte, usposobiony był raczej fizycznie, niż głosowo. P. Janowski, jako Pedrillo, dał bardzo dobrą postać sceniczną, choć wokalnie zbyt dyskretną. Najlepiej wywiązała się z partji Konstancji p. Bandrowska-Turska. Trudną ogromnie arję pierwszego aktu odśpiewała artystka z dużym zrozumieniem stylu, z kulturą, poczuciem klasycznej frazy i dobrą, jak zawsze, koloraturą. Czysto i ładnie śpiewała Blondę p. Karowska. Chór niestety, pozostawia do życzenia, bo śpiewa, jakgdyby przypadkiem. P. Szmolcówna tańczyła, niewiadomo dlaczego, taniec holenderski, bo dystans od Turcji do Holandji jest dość daleki. Kwartet wokalny w II akcie brzmiał bardzo dobrze. Dyrektor Młynarski wzorowo prowadził filigranową orkiestrę janczarską; szkoda tylko, że brakowało w uwerturze „Rondo alla turca“.

Mimo wszystko, ta przestarzała w swej formie „Oper mit gepsprochenen Dialogen“ przemawia nieśmiertelną muzyką silniej, niż wszystkie opery innych autorów, którym nie sądzono na scenie dłuższego życia, ponad lat pięćdziesiąt.

P. L.

Kobieta w świecie i w domu

GŁOSY UCZCIWYCH KOBIET NIEMIECKICH

Na walnem zebraniu związku kobiet niemieckich, które odbyło się w Eisenach, dyskutowano gorąco nad sprawą udziału kobiet w życiu politycznym.

Działaczki niemieckie konstatują, że kobiety, które w r. 1919 z ogromnym zapałem oddały się zagadnieniom polityki i pracy na jej polu, wstępując do różnych stronnictw politycznych, — obecnie dochodzą coraz więcej do przekonania, że są w tych stronnictwach majoryzowane przez mężczyzn i podporządkowywane ich linii politycznej. Dochodzi do tego, że w komisjach parlamentarnych kobiety doznają wprost wrogiego traktowania i stać muszą solidarnie, bez różnicy stronnictw — przeciw mężczyznom, tak silnie

zaznaczają się różnice przekonań, zwłaszcza w sprawach dotyczących pokoju!

W czasie, gdy większość prasy niemieckiej prowadzi intrygi polityczne, marzy o odwecie wojennym i przekonywa Europę, że taka opinia jest wyrazem całego społeczeństwa, wśród kobiet niemieckich muszą jednak panować inne przekonania w tych sprawach i szczerze dążenia do pokoju, ten motyw bowiem wypełnia całą prasę kobiecą, wszystkie artykuły, przez kobiety pisane, i wszystkie ich publiczne wystąpienia.

Członkinie zjazdu w Eisenach stwierdziły, że zachodzi potrzeba stworzenia silnego stronnictwa kobiecego, którego podstawą będzie nowa ocena wartości człowieka, postawienie na pierwszym planie celów idealnych — pokoju i braterstwa, — prowadzenie, jak wyraziła się przewodnicząca zjazdu: — „polityki matek“.

Jeżeli mężczyźni zechcą pójść po tej drodze, — kobiety będą wspólnie z nimi pracowały; jeśli nie, — wycofają się zupełnie ze stronnictw, poświęcając się jedynie pracy dla swoich celów. N. J.

MAŁŻEŃSTWO W BOLSZEWJI

Wiemy, że w Rosji sowieckiej zredukowano oddawna formalności przy zawieraniu ślubów do minimum, wobec czego można uwierzyć najbardziej nawet fantastycznym historyjkom, podawanym przez gazety bolszewickie.

Oto fakt: W styczniu r. ub. w urzędzie stanu cywilnego w Petrogradzie zostało zawarte małżeństwo pewnej 18 letniej panią z niejakim Udalcowym.

Już w marcu tegoż roku młoda kobieta zjawiała się poraz wtóry w urzędzie, wnosząc podanie o rozwód, i tegoż dnia, gdy została rozwódką — poślubiła brata swego pierwszego małżonka.

Tym razem „szczęście rodzinne“ trwało całe sześć miesięcy, bo aż do października, gdy kapryśna i zmienna pani przybyła do urzędu poraz trzeci, aby rozwieść się znowu i poślubić zaraz, natychmiast trzeciego wybranego, który... dziwnym zbiegiem okoliczności okazał się najmłodszym, przyrodnim bratem dwóch poprzednich małżonków.

Pani Udalcowa, nie zmieniając nazwiska i bez wielkich ceregieli, przespacerowała się w jednym roku trzy razy zamąż.

Niewiadomo, jak tam będzie dalej, gdyż aczkolwiek Udalcow Nr. 3 jest ostatnim z rodzeństwa, to jednak w rodzinie tej znajdzie się jeszcze sporo stryjecznych i ciotecznych braci. H. S.

KOBIETY NA USŁUGACH CHEMJI

W pierwszych dniach stycznia r. b. odbył się w Paryżu Kongres chemików, podczas którego kierowniczka i założycielka Instytutu elektro-mechanicznego, inżynier m-elle Paris wygłosiła wielce interesujący referat, oświetlający całokształt pracy kobiecej w dziedzinie tego odłamu nauki.

Prelegentka wykazała z zapałem, jak szerokim polem pracy dla kobiety współczesnej jest chemja i jak w miarę rozwoju feminizmu we Francji, zwiększa się armja chemiczek i inżynierów-kobiet. Nie każda, oczywiście, ma zostać w przyszłości Curie-Skłodowską, zwaną dziś słusznie patronką wszystkich chemiczek na świecie, ale każda inteligentna i uczciwa pracownica ileż przysług może oddać tej nauce!

Współczesne odkrycia chemiczne, które we wszystkich, zdaje się, przejawach potwierdzają teorię alchemików o jedności materji, wskazują na niezliczone możliwości, które jeszcze przed kilkunastu laty mogły się wydawać wymysłem bujnej fantazji.

Cały ten niesłychany przewrót w dziedzinie odkryć chemicznych został dokonany dzięki wysiłkom jednej genialnej kobiety — zakończyła swe przemówienie m-elle Paris, — wszystkie więc kobiety, zainteresowane tą gałęzią wiedzy, nie powinny w żadnym bądź razie ustępować z tak chlubnie zdobytego dla siebie pola pracy.

H. S.



Z balu słowiańskiego: Grupa w strojach krakowskich.



Z balu słowiańskiego: „Beseda” w strojach czeskich.

W kronice karnawałowej zanotować należy „Bal Mody”, który przez parę tygodni elektryzował liczne rzesze kobiece i najwybitniejsze firmy modniarskie, ubiegające się o palmę pierwszeństwa w konkursie na najpiękniejszą tualę. Sale hotelu Europejskiego na jedną noc zamieniły się w rojowisko barwnych motyli, wśród których ginęły czarne jaskółki fraków. Królową mody została p. Marja Balcerkiewiczówna, energicznie prowadzą-



Bal mody: Tualety nagrodzone.

ca konkurs tualet balowych. Odmiernym charakterem odznaczał się „Bal słowiański”, gromadzący co roku sfery dyplomatyczne i młodzież uniwersytecką, obojętne i sprawnie tańczącą bułgarską „raczenicę”, serbskie „kolo”, czeską „besedę” i polskiego krakowiaka w barwnych strojach ludowych. Dochód z tego balu przeznaczony jest na kształcenie niezamożnej młodzieży słowiańskiej na uniwersytecie warszawskim.



POWINNIŚMY TAŃCZYĆ

Dziwnym przejawem psychiki ludzkiej jest potrzeba zabawy.

Możemy śmiało nazwać to instynktem, gdyż widzimy ją nie tylko w ciągu całego życia człowieka, ale na wszystkich stopniach rozwoju różnych cywilizacji i ras poprzez wieki, a dla zwolenników teorii przemian genezyjskich możemy stwierdzić, że instynkt zabawy równie silny, choć nie tak subtelnie wyrobiony, posiadają nawet zwierzęta.

Ludy pierwotne łączyły, i do dziś ludy dzikie łączą zabawę z obrzędami religijnymi. Widzimy to zjawisko u starożytnych greków i rzymian, u słowian, a obecnie u różnych dzikich szczepów Azji i Afryki. Raj mahometan, nawet surowa Walhalla germanów istniały w ich wyobraźni w formie przybytku rozkoszy i zabaw. Stara cywilizacja chińska łączyła również uroczystości religijne, jak Nowy Rok i dzień święta zmarłych — z różnorodnymi zabawami.

Z chwilą podniesienia na wyższy poziom i wysubtelnienia psyche ludzkiej pod wpływem cywilizacji chrześcijańskiej, pojęcia te rozdzielają się, ale nawet surowa asceza średniowiecza nie kasuje zabawy. Przytem dwa jej główne czynniki: teatr i tańce — biorą początek z obrzędów religijnych. Średniowieczne misterja, jasełka i przedstawienia zaków — dają początek teatrowi. Tak samo na dawnych tańcach obrzędowych religijnych pogańskich wzorują się pierwsze tańce świeckie. I odtąd taniec staje się głównym ośrodkiem zabaw towarzyskich.

Potrzeby zabawy nie potrafią stłumić nawet wojny i kataklizmy polityczne. Widzimy niejednokrotnie dowody tego — jak np., sławne w krótkim czasie po upadku terroru „bals des victimes“ w Paryżu, w których brały udział rodziny ofiar rewolucji, knując podczas tych zabaw spiski przeciw dyrektorjowi i pierwszemu konsulowi.

Szczególnym zamiłowaniem zabaw odznaczają się zwłaszcza epoki bezpośrednio przedwojenne i powojenne. Wielu z nas pamięta szalony karnawał 1914 r., w którym komenda mazurowa, lub kotyljonowa nasuwała żywszej wyobraźni dziwne obrazy, które miały wkrótce zamienić się w rzeczywistość.

Obecnie, gdy ludzkość odetchnęła — „odprostowała“ się po długich latach wojny — instynkt zabawy wraca znów z przemożną siłą. Na reducie operowej w Wiedniu było w tym roku 3 tysiące ludzi! W ubogiej, małej Austrii! Berlin szalał w noc noworoczną — cóż mówić o narodach zwyciężskich!

Dziwne tylko, że poważne dzieła socjologiczne nie zajmują się dotychczas dość intensywnie tym ważkim społecznym objawem. Rzuca on, bowiem, ciekawe światło na wiele — pozornie wcale z nim niezwiązanych — zagadnień społecznych.

Zato biorą go pod uwagę zupełnie realnie różni mężowie stanu, zajmując w stosunku do niego różnorodne stanowiska. Mussolini, np., zabronił oficerom armji włoskiej charlestona, jako nie licującego z jej godnością. Dalej jeszcze poszedł Kemal pasza. Temu podobały się niezmiernie tańce współczesne, ale tylko dopóki tańczyli je... cudzoziemcy. Z chwilą, gdy ujrzał charlestonujących Turków i Turczynki, oświadczył, że to niema sensu! I ten wielki dyktator poświęcił sporo czasu sprawie utworzenia właściwych dla jego kraju tańców. Pod auspicjami Kemala zreformowano dawny taniec wojenny Górali-Zajbeków na przesłizny i poetyczny taniec moderne, a córki generalnego inspektora szkolnego, Livry beja, opracowują podobne zmodernizowanie całego szeregu narodowych tańców tureckich z różnych prowincyj.

Przeciwnie, francuski minister wojny Painlevé uważa, iż modne tańce są zupełnie dopuszczalne dla armji. Dało to nawet powód do przezabawnego zajścia. Painlevé — pomimo, że bywa przecież z urzędu na różnych balach, — nie pamiętał jakoś, jak wygląda charleston i shimmy; zagadnął więc o to jednego z generałów, profesora politechniki. „Zaraz panu ministrowi pokażę“ — oświadczył uprzejmy generał i zaczął wykonywać pas charlestona. Niestety chciało, że w tej chwili otworzyły się drzwi gabinetu ministra i stanął w nich woźny, aby kogoś zameldować! Cały Paryż śmiał się potem przez tydzień. Niemniej jednak charleston uzyskał wstęp wszędzie, nawet do pałacu Elizejskiego.

Otóż w porównaniu do tego szalonego rozpędu zabaw w innych krajach, zdaje się, że my w Polsce nie tylko nie bawimy się zawiele, ale raczej — zamało!

Narzekamy na ciężkie czasy — pomimo tego jednak nie powinniśmy zaniedbywać zabaw. Zasadniczo mamy olbrzymi powód radości: — nasze odrodzenie — który starym, pamiętającym niewolę i jej cierpienia, wyciska łzę wzruszenia, ale u młodych powinienby objawić się rozmachem, huraganem wesołości! Młódzież, niczem nieskrępowana, wolna od dręczących przejawów ucisku, musi uwielbiać zabawę! I nie należy jej tego żałować. Tańce są stanowczo zdrowsze i estetyczniejsze od przesiadywania w restauracjach, cukierniach, przy kartach, bilardzie.

Już słyszę, jak ktoś mówi: „dancing“ — no tak, ten dancing toby można trochę zreformować — ale o tem później.

Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na fakt, że młodzież, męska zwłaszcza, nie odnosi się do zabaw tanecznych ze zbyt wielkim zapałem.

Objaw ten pokutował już pewnymi okresami i przed wojną. Była wieczna troska o danserów i to nie tylko dlatego, że niewiast jest na świecie więcej, ale że młodzież wolała często bawić się inaczej.

Bezpośrednio po wojnie, gdy ludzie wytęsknili się do tańca, i gdy na arenę balową wystąpiła młodzież uniwersytecka, która dawniej czem innym była

zajęta, a nierzadko nawet uczniowie najwyższych klas szkoły średniej — intensywność zabaw wzmogła się, ale obecnie, u cokolwiek już starszych, instynkt radosnej zabawy, jej potrzeba — zaczyna znów zanikać.

— Kończę się towarzysko — mówił mi w tych dniach jeden ze znajomych młodych ludzi (ma „okrągłe“ 24 lata) — zaczynam rozmawiać z moją danserką o... budżecie państwowym! W ciągu jednej nocy zła-pałem się na trzech takich „gaffes“.

Nie od rzeczy będzie dodać, że jego danserka uzyskała przed dwoma miesiącami dyplom lekarski.

I tu leży jądro kwestji. Młodzież powojenna, która dużo przeszła i widziała, żyjąca intensywnym życiem umysłowym — nie ma już tak rozwiniętego zapału do pląsów, jak naiwne panienki, lub ochocza „brać akademicka“ z lat dawnych.

Dodamy do tego, że z usposobienia, rasy i narodowości jesteśmy subtelnyimi intelektualistami, na podłożu raczej melancholijnym. Nie znamy żywiołowej radości życia południowych narodów.

Zabawa zresztą, jak wszystko w życiu, ulegać musi zmianom i przewartościowaniu. Inaczej bawili się wyrafinowani, zepsuci rzymianie, inaczej — surowe, a niezbyt subtelne średniowiecze, inaczej — radosna epoka Odrodzenia, motylkowate roccoco, jeszcze inaczej — pretensjonalny i sztywny wiek dziewiętnasty. Coś innego też musi zapanować obecnie. Gdyż, pomimo wszystko — pęd ku zabawie, który jest instynktem w człowieku, trwać będzie: zdrowa, bowiem, zabawa jest człowiekowi niezbędną, tak samo, jak sztuka, lektura, sport i t. p.

Ale właśnie dlatego, że obecnie przyszedł czas tego przewartościowywania istoty zabawy, widzimy z jednej strony, u ludzi, no — powiedzmy, mniej duchowo i intelektualnie subtelnych zapamiętała manje dancingu, przy rozdzierających uszy „jazzach“, podczas, gdy umysły poważniejsze, więcej życiem, czy pracą znużone, stronią od rozrywki tanecznej, lub uważają ją, jako obowiązującą, ale dość ciężką formę życia towarzyskiego.

Pomimo tego, zdaje się, że odwieczny instynkt zabawy nie zaniknie. Może nastąpi tylko pewna reforma. Nie byłoby najgorzej, gdyby ludzie zajęli się trochę tą reformą. Osobiście uważam, że możnaby ograniczyć t. zw. wielkie bale z ich tłumami, ciasnotą i długim trwaniem. Brak i szczupłość mieszkań, oraz współczesne warunki życiowe nie pozwalają na wznowie dawnych „wieczorków“ prywatnych, na których tak bezpretensjonalnie i ochoczo się bawiono. A pewno i nie zadowolilyby już dziś naszych wybrednych wymagań te „kręciołki“! Ale możnaby zreformować właśnie dancingi, a raczej utworzyć inne, — trudno bowiem narzucać przedsiębiorcom restauracyjnym jakieś wyższe programy.

W pięknej sali, nieprzeludnionej, przy dobrej muzyce, — dwie, trzy godziny tańca, bez przesadnych

strojów, — taka krótka zabawa, na wzór dancingu, lecz bez jego tłoku i jaskrawości, wyzwoliłyby napewno całą radość życia i młodości. Powinnyby przytem przemówić i natchnienia artystyczne. Tańce plastyczne, piękne figurowe i alegoryczne. Nie potępiam tu wcale tańców współczesnych: figury i melodie niektórych shimmy, bostonów i tang są, mojem zdaniem, o wiele poetyczniejsze, niż np. polki! Ale możnaby pomyśleć i u nas o zmodernizowaniu niektórych starych tańców, jak np. poloneza i tańców ludowych. Wniosłoby to do zabawy nowy czynnik zainteresowania estetycznego.

Narazie przeszkadza tym próbom znowu brak lokali, ale ten przecież wiecznie trwać nie będzie. Przytem napewno przyszła moda taneczna uwzględni szeroko zabawy na powietrzu, w pięknych ustroniach parków podmiejskich, na wycieczkach.

Jakkolwiek, bowiem, istnieje dużo sposobów bawienia się, — najwyższym i niejako kulminacyjnym punktem zabawy jest zawsze taniec: łączy gimnastykę ruchową z wrażeniami artystycznymi muzyki i usposabia do najwyższego wyzwolenia wesołości.

— Tańczmy — tańczy cała szopka? — Nie — tańczmy jak ludzie zdrowi, estetyczni i radosni. Niech intelektualizm odpocznie wśród czaru radości! N. J.



KARNAWAŁ...

Jeszcze się nie rozszalał, nie doszedł jeszcze do szczytu swojej zaborczej potęgi. Jest, niby ten ostrożny przechodzień, co bada teren, zanim śmiałym i zdobywczym krokiem pójdzie na podbój zwycięski. Taki jest jeszcze dyskretny i zmodulowany, jak pieśń radosna, nucona unissono.

Nie wiem, jakimi w tym roku kroczyć będzie drogami — umiarkowania, czy szału? co pozostawi po sobie: żal, czy przesył? dosyć, że echa jego melodyj i pląsów nie dosięgły jeszcze mojej samotni, — to też, zasiadając do najmilszej z Wami, piękne Panie, gawędy — o mało nie popełniłam czegoś nie do darowania! Oto na jednej z kartek notatnika, której przeznaczeniem jest chwycić myśli, refleksję i zdarzenia — odzwierciedlać chwilę, ten najtreściwszy temat — życie, — znalazłam dwa, uginające się pod brzemieniem odpowiedzialności, słowa: „Uczciwość Zawodowa“.

Z przedziwnem mistrzostwem los rzucał w ostatnich czasach na moją drogę przyczynki i komentarze, służące do rozwinięcia tego tematu, a jednak w ostatniej chwili odczułam nietakt poruszania tak ciężkiej sprawy, pod rytm karnawałowych melodyj. Ciekawość,

ta nieodłączna cecha naszego niewieścigo charakteru, oddała mi dzisiaj przysługę prawdziwą; gdyby nie ona... Dosyć, że przed pogrążeniem się w pochłaniającej pracy przelewania na papier myśli i sądów, skierowała moje kroki do radia. I oto usłyszałam, jak pan Starski uczy spóźnione, a niemniej żadne wtajemniczenia istoty, podstawowych reguł tego co dziś jest najważniejsze. Dwa kroki prawą nóżką, dwa kroki lewą, półobrót itd. itd. Lekcja Black-bottom'a. Jakiś cierpliwy gramofon gra niestrudzenie: raz, jeszcze raz i jeszcze raz, a za chwilę z wesołym szczebiotem pomknie ku karnawałowym świątynom nowy zastęp najnowszych doskonałości.

A więc—karnawał! Ten pierwszy i ten ostatni, i ten jeden z wielu już przetańczonych, a niosących ze sobą zawsze jakieś tchnienie cudownej nadziei i oczekiwania, przeżyć, snionych w najtajniejszych głębiach fantastycznej, kapryśnej psyche kobiecej. Jakże nie poświęcić mu choć kilku słów, jakże przejść mimo, otrząsając wzgardliwie pył z obuwia i nie dać mu choć jednego uśmiechu i westchnienia?

O strojach mówić mi nie wolno! Nie wolno, chociażby w imię tej, porzuconej na chwilę „Uczciwości Zawodowej“, która zakazuje wkładać się do działu, tak ślicznie i treściwie przez panią Well prowadzonego. Ale zato wolno mi mówić o najciekawszej, najbardziej entuzjazmującej sprawie — o tańcu!

Czy nie będzie to zbyt jaskrawą niedyskrecją, jeżeli zapytam Panie, co wiedzą o nowych tańcach? czy posiadły już tajemną wiedzę wszelakich nowości?

A Yale? Czy stoi jeszcze u wrót rozbawionej stolicy, niby skromny wędrowiec, pod którego szatami nikt nie spodziewa się nowego władcy, czy też wstępnym bojem zdobył sobie Was, te, które rozdają berła władcom, lub kruszą ich korony drobnymi, napozór, i niestworzonymi do samorzutnego czynu rękami?

Nadsekwańska stolica rozbrzmiewa hymnem zachwyty dla tego, najnowszego wśród nowych, tańca. Na prywatnym posiedzeniu związku profesorów wyższych szkół choreograficznych przeszedł on próbę ogniową z wynikiem jak najdodatniejszym. Pochożenia, jak prawie wszystkie, zresztą—amerykańskiego, nazwę swą zawdzięcza jednemu z amerykańskich miast uniwersyteckich, gdzie poraz pierwszy zdemontrowano go w jednym z modnych dancinów. Melodja i rytmika Yale płynie ku nam z poza oceanu, via Londyn i Paryż, gdzie taniec ten, po uznaniu go

przez powyżej wspomniane gremium, demonstrowała para najprzedniejszych tancerzy: p. Paul Raymont, tancerz akademii muzycznej, i pani Olga Soutzo, pierwsza tancerka Opery paryskiej.

Łatwo zrozumieć, że taka interpretacja przyczyniła się niemało do wawrzynów, jakie już z początku przypadły następcy Charlestona w udziale. A sara taniec? Śliczne połączenie tanga z walcem, nikła domieszka odruchu, znamionującego zwycięstwo, jakies niby dążenie wzwyż, lot ku obłokom. Ostatnie słowo poezji i doskonałości.

W melodji, rytmie i pas Yale nie zamyka się jeszcze cały dorobek taneczny chwili. Do nas wprawdzie nowości dochodzą z pewnem opóźnieniem. To też karnawał tegoroczny rozpoczął się pod znakiem Charlestona, Black-bottoma i Blues'a, pozostawiając chwilowo na uboczu najświeższe kreacje, do jakich zaliczyć należy: Kinkajou, Rythmic-step i Slow-fox.

Kinkajou—dosłownie odmiana dzikiego kota,—to taniec, pełen zaczepnej i z lekka drapieżnej swawoli. Balansowanie ramion, ta jego cecha swoista, wprawiając przedewszystkiem w ruch tors ludzki, wymaga dużo harmonijności, a przytem wdzięku i umiaru, aby uniknąć mógl groteskowości.

Rythmic-step—taniec skoczny, wesoły, żywy—ma wszelkie szanse powodzenia. Podkreśla całokształtem pewien związek z prababką polką.

Slow-fox, coraz częściej grywany przez egzotyczne zespoły muzyczne, tak zwane jazz-bandy, jest rodzajem leniwego fox-trot'a. Jego spokojne, współsenne tempo solidaryzuje się specjalnie z końcowymi momentami zamierającej w ogólnem znużeniu zabawy.

U progu tego karnawału przewinęła się przez zgiełk i gwar podnieconej nadzieją zabawy ludzkości stara piosenka — piosenka, którą słyszeliśmy już nie raz i nie dwa — piosenka o kłamliwej treści. Jesteśmy już, podobno, wszyscy (tak mówią jej strofy) znużeni wymyślną egzotycznością tańców i melodyj powojennych: wracamy triumfalnie do dawnego marzącego walca, ognistego oberka i zwycięskiego w swym locie w przestrzeń mazura. Czy tym razem nie będą to znów puste słowa? i czy „znużeni“ tak bardzo, zechcemy odpocząć, obcierając kroplisty pot z czoła po przetańczonym „na odsiebkę“ oberku, czy też zasłużymy sobie w dalszym ciągu na miano lubujących się w samoudręce—na to odpowie nam najlepiej Jego Królewska Mość tegoroczny Karnawał! W. D.

Premje dla prenumeratorek „Bluszczu“

Ponieważ premje, przeznaczone dla prenumeratorek „Bluszczu“, wzbudziły wielkie zainteresowanie, przedłużamy termin wydawania ich.

Każdy, kto do dnia **15 lutego** wpłaci wprost do Administracji—Warszawa, Krak. Przedm. 99—pełną **prenumeratę „Bluszczu“ w sumie 34 zł. 80 gr.**, otrzyma do wyboru: **zaczetą robotę wraz ze wszystkimi dodatkami (haft biały, lub kolorowy), lub książkę dr. Julji Świtalskiej p. t.: „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“.**

Osoby, które już opłaciły miesięczną, lub kwartalną prenumeratę, a chcą otrzymać premje, mogą do dnia 15-go lutego dopłacić resztę prenumeraty do wysokości półrocznej.

PRZYJĘCIA ZARĘCZYNOWE I ŚLUBNE

na życzenie pani C. M. w Poznaniu.



Uroczystość oficjalnych zaręczyn połączona jest zwykle z przyjęciem dla wszystkich znajomych. Zależnie od wielkości mieszkania, jakie zajmują rodzice narzeczonej, oraz ilości zaproszonych osób, przyjęcie takie urządza się w domu, albo w zamkniętych salonach pierwszorzędnej restauracji. Naturalnie, mówimy tu o przyjęciu u ludzi, posiadających odpowiednie ku temu środki, jak to wyraźnie zaznaczyła moja interlokutorka. Młoda naręczona, ubrana różo-

wo—kolor ten, w modnym odcieniu, najbardziej jest wskazany obecnie dla niej—wspólnie z naręczonym wita przy drzwiach wchodzącą rodzinę i znajomych. Zależnie, do której strony należą on lub ona przedstawiają się, mówiąc: „mój naręczony“, lub: „moja naręczona“ — następnie wymieniają nazwisko, stopień pokrewieństwa lub zażyłości osób, którym się przedstawili.

Od pory dnia, w jakiej urządzone jest przyjęcie, zależy, czem ugaszczamy zaproszonych. Modne są drugie śniadania i poobiednie słodkie przyjęcia,—te ostatnie zawsze tylko w domu; natomiast na drugie śniadania i kolacje wskazane są salony restauracyjne.

Czy w domu, czy w restauracji—urządza się bufet i małe stoliki. Zanika w miastach prawie zupełnie męczący zwyczaj godzinnych posiedzeń przy stole i podawania potraw bez liku.

Drugie śniadania składają się z potraw zimnych i gorących: filiżanka dobrego buljonu z rozmaitemi pasztecikami; różne galantyny, galarety i majonezy z ryb i drobiu; gorąca szynka z sosem maderowym, zwierzyna, czy drób z sałatami mieszanymi; lody i galarety mrożone — to najodpowiedniejsze zestawienie potraw w danym wypadku. Do picia—wina czerwone, burgundzkie i szampan mrożony—będą najwłaściwsze. Jeżeli przyjęcie dajemy wieczorem i chcemy, aby przeciągnęło się dłużej,—oprócz bufetu, urządzonego od początku w jednym z pokoi, podaje się gorącą kolację, również przy małych stolikach. Składa się na nią filiżanka rosółu z pasztecikami, ryba w majonezie, polędwica wołowa po angielsku z sosem maderowym, albo comber sarni z sosem groselles, jedno i drugie z krokietami z kartofli, macédoine z jarzyn, albo wykwinna jarzyna, drób pieczony z sałatą, lody, kremy, owoce, galarety, deser. W dłuższą chwilę potem—czarna kawa,

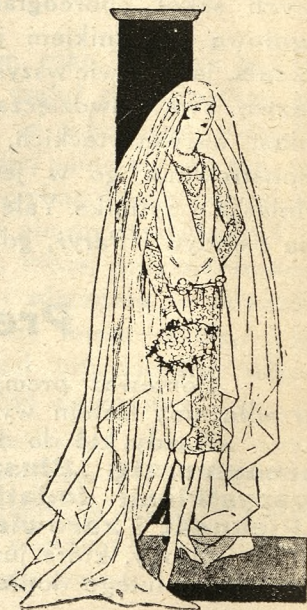
likiery, słodczy, owoce, szampan, różne lody, podane przy tak zwanym słodkim bufecie, zastępującym dawną cukrową kolację. Po obiedzie—przyjęcia, urządzone, jak wspomniałam powyżej, tylko w domu—składają się z herbaty, czarnej kawy, doskonałej, gęstej czekolady, ponczu gorącego, zimnych napoi, szampana, lodów, różnych ciast, tortów, słodczy, owoców; a dla zgłodniałych, lub nielubiących słodkich dań, podajemy tacę kanapek z przeróżnymi dodatkami, umieszczonemi, jak to już nieraz mówiliśmy, między dwoma kawałkami białego chleba, otartego ze skórki i grubo posmarowanego doskonałym masłem. Chleb razowy podaje się smarowany, układany kawałkami jeden na drugim, następnie pokrajany poprzecznie na cienkie plasterki.

O ile na zaręczyny proszeni są wszyscy znajomi, których przyjąć chcemy, o tyle zaproszenia na uroczystość ślubną, poważną i wzruszającą, redukujemy tylko do najbliższej rodziny i przyjaciół, posyłając reszcie znajomych bilety do kościoła.

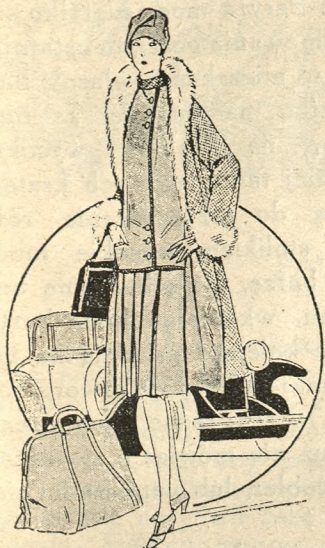
Panna młoda, spowita w białe szaty, osłonięta mgłą zawsze najładniejszego illuzjowego welonu, z bukiem płaskim, według mody 1830 roku ułożonym—wita przybywających gości, z których składać się będzie jej orszak ślubny. Ukrywanie naręczonej aż do zgromadzenia się wszystkich zaproszonych — nie jest już stosowane.

Nadmienić muszę, że tradycyjne spóźnianie się do kościoła jest w najgorszym tonie. Panna młoda z punktualnością, godną królowej (według dawnych tradycji), nie powinna kazać oczekiwać na siebie w kościele. Jeżeli rodziny są liczne, a żyją rodzice obojga młodych,—orszak składa się podług starszeństwa. Do ołtarza prowadzi naręczoną jej ojciec, pana młodego prowadzi jego matka. Następnie idą parami członkowie obu rodzin, dobrani podług starszeństwa. Wkońcu cztery pary druchen i družbów. Od ołtarza pannę młodą prowadzi mąż w otoczeniu druchen i družbów, ojciec pana młodego idzie z matką panny młodej, a ojciec panny młodej—z matką pana młodego.

Druchny, ubrane jednakowo, aby barwnością swych strojów nie zaćmiewać stroju panny młodej. Według najświeższych przykazań mody druchny powinny również mieć białe туаlety, dozwolone jest tylko jakieś kolorowe odróżnienie, czy tokwiatami, czy wstążką. Rozmaite kolory w туаletach panien, otaczających naręczoną, wnosili w orszak dysharmoniję wrażenie nieporządku. O ileż piękniej wygląda orszak, w którym panna młoda, jak wysmukła lilja, ślicznie zle-



TEMATY KARNAWAŁOWE



wa się w całość z otaczającą ją bielą druchen, ni by motyli

Po uroczystości weselnej—nie obowiązkowo, jak dawniej, niemniej jednak często—wybiera się młoda para nazajutrz w podróż poślubną.

Czy to koleją, czy samochodem—najodpowiedniejszy będzie do drogi płaszcz, tkany z wełny w jednym z wielu ciemniejszych, lub jaśniejszych kolorów migdała palonego. Kostjum trykotowy, w podobnym do płaszcza ko-

lorze, z odpasowaniami barwnymi szlakami, berecik piaskowy, woreczek i buciki tego, co kapelusik, koloru—oto najbardziej tegoczesna toaleta podróżna.

Oprócz niezbędnej bielizny, w drogę nie należy brać zbyt wiele rzeczy—niepotrzebny to balast. Konieczna jednak jest jakaś pyjama, lub szlafroczek, który kładzie się, powróciwszy zmęczoną z wycieczki. Szerokie rękawy szlafroka wróciły do mody i słusznie: nie przeszkadzają, bowiem, i nie krępują ruchów przy czesaniu.

Powrót do domu—to rozpoczęcie nowego życia, podporządkowanie się zwyczajom i wymaganiom światowym. To też odrazu musimy zastosować się do nich. Chcąc zyskać sobie sympatię i uznanie ludzi, trzeba postarać się o nie.

Nie odkładając, złożyć obowiązkowe wizyty, przede wszystkim rodzinie i przyjaciółom, którzy byli na weselu, następnie wszystkim, z którymi chcielibyśmy nawiązać bliższe stosunki. Do takich wizyt trzeba mieć odpowiednią toaletę, skromną a wykwintną, z materiału najbardziej noszonego, jak obecnie np. aksamit. Elegancko zrobiona, wykończona nieodzownym dzisiaj olbrzymim kwiatem na ramieniu (im większy, tem szykowniejszy), z zarzuconym pięknym szalem krecim—toaleta taka może być włożona na największe zebranie. Kapelusik aksamitny, zrobiony z resztek od sukni, z pękiem paradisów ponad uchem, ślicznie dopełni tę pełną wdzięku toaletę. Pierwsze wizyty trzeba starać się składać równocześnie, żeby nie obrazić nikogo wyróżnieniem jednych przed drugimi. Są to subtelności, które, chcąc mieć przyjaciół, trzeba umieć zachować.

J. S.



Kiedy się zwracają do mnie miłe czytelniczki z zapytaniami, dowodzącymi pokładanego we mnie wielkiego zaufania—jak urządzić przyjęcie wieczorne, lub popołudniowe, co dać gościom na podwieczorek, lub kolację, jak obliczyć ilość potrzebnych do zimnego bufetu półmisków—staram się wprawdzie, w miarę sił, możliwości i latami zdobytego doświadczenia—odpowiedzieć; lecz wiem, niestety, że w dziewięciu wypadkach na dziesięć praca moja idzie na marne. Chyba bardzo młoda i niedoświadczona gospodyni zużytkuje te, nieraz bardzo pracowicie obmyślane i obrachowane rady; każda inna znajdzie w nich jakieś poważne „ale“,—szczególniej, kiedy o jadłospisy chodzi—zawsze powie: „zamało“, albo też „za wiele“. Bo nigdzie chyba równie fantastycznie nie przyjmują gości, jak w Polsce.

Jesteśmy gościnni, bardzo gościnni! co do tego dwóch zdań być nie może. Są panie domu, które żyją gośćmi i dla gości.

Kogo zaprosić, jakie dać atrakcje, jakie zrobić kombinacje przy sadzaniu do obiadu, czy kolacji, no, i naturalnie: czem nakarmić. Nakarmienie to uważają jedne za punkt kulminacyjny zebrania, inne—za nieuniknioną przykrość, bez której się obejść nie można. I nietylko te panie, dzielące swe życie na etapy: „od przyjęcia do przyjęcia“, lecz i wszystkie inne gospodynie domu, które chętnie widują u siebie przyjaciół i znajomych, uważając każde przyjęcie za słuszny rewanż za miłe chwile u tych przyjaciół i znajomych spędzone—dziwnie indywidualnie traktują sprawę tych przyjęć. Nigdy żaden gość, czy to proszony na większe zebranie, czy uczęszczający bez specjalnego zaproszenia w określone zgóry dnię przyjęć, nie wie—o ile nie zna oddawna zwyczaj, panujących w domu—czy ma przyjść po kolacji, lub też przezornie nic nie jeść w domu, aby gospodyni nie obrazić brakiem apetytu. I to nietylko wieczorem: nawet na five'ach w niektórych domach ustawiają istne słodkie bufety z napojami chłodzącymi i rozgrzewającymi, z tartynkami i z pasztecikami, owocami i cukrami; w innych—filiżanka herbaty i homeopatyczne ilości suchych ciastek. Przeciwno tej ostatniej formie nic nie mam:—między obiadem i kolacją to zupełnie wystarcza—tylko—jeśli ta pani, co daje tę filiżankę herbaty z sucharkiem i do tego miłą i interesującą rozmową, oraz dużo serdeczności w obejściu—trafi do tej innej, która brak uzdolnień towarzyskich zastępuje wytwornością przyjęcia—tej pierwszej jest jakoś nieprzyjemnie i głupio.

Jeszcze gorzej jest z przyjęciami wieczornymi: rozpięcie jest wprost olbrzymie!

Pozwolę sobie skorzystać z opowiadania jednego z moich znajomych, dużo bardzo bywającego w bawiących się sferach stolicy. Zajadając z apetytem skromną wieprzową główkę w galarecie z chrzanem

i ze śmietaną, dał wodze właściwej bodaj każdemu polakowi zgryźliwości i mówił: „Proszę pan! w tej Warszawie człowiek, zaproszony na zabawę, nie wie, co go czeka. Proszą mnie wyraźnie na bal. Piję skromną herbatkę w domu, wkładam frak, rujnuję się na gardenję do butonierki. Amfilada salonów, lokaje w liberji, trio rżniętych instrumentów, tualety od Myszkorowskiego, wszelkiej dyplomacji—od anglików do japończyków—bez liku. Po paru godzinach ożywionych tańców przechodzimy do jadalni, gdzie na olbrzymich tacach srebrnych stoją tartynki, na równie srebrnych półmiskach—galaretki cytrynowe, w dzbanach kryształowych—limonjada, a ciż sami uliberjowani lokaje obnoszą ciekawą herbatkę z cytryną! Zakląłem w duchu—godzina była około trzeciej w nocy — na restaurację zapóźno. Wróciłem do domu głodny i zły. W parę dni potem otrzymuję zaproszenie na herbatkę,—wyraźnie, na herbatkę—do domu z tegoż kółka. Jem przeźornie kolację, nie licząc już wcale na tę herbatkę. Nie zdążyłem się jeszcze przywitać, gdy już gospodarz pociągnął nas na konjaczek, i nie bylejaki: „Hennessy V. S. O.“! Stół uginał się od przekąsek, od śledzików, poprzez wszelkie grzybki, rybki, sery i wędliny, do świeżego kawioru włącznie. Po powrocie do salonu pani znowu zaprowadziła do buduaru, gdzie stały pączki, cukry, torty, owoce, znowu do ananasów i bananów włącznie. Starczyłoby tego na noc całą! To też i konsumowano te smakołyki noc całą, co nie przeszkadzało gościom zasiąść do kolacji gorącej z pięciu dań, która trwała przeszło dwie godziny. Naturalnie, że po takim pokrzepieniu, należycie podlanem francuskimi i włoskimi winami, tańce szły ochoczo. Zresztą likiery i kawa, kruszon i owoce ciągle były roznoszone. Nad ranem zaś jeszcze gościnni (oj, zagoscinni!) gospodarze kazali drzwi pozamykać i goście musieli spożyć bigos, barszczyk z pasztecikami i — kołduny! — te ostatnie widocznie w przewidywaniu wznowienia sąsiedzkich stosunków z Litwą, skąd też stanowczo rodem była wyborna starka! Nazajutrz, no, nazajutrz—byłem do niczego.

Najbardziej mnie to zastanawia, że w pierwszym domu,—tym z tartynkami,—gospodarze są to ludzie zamężni, na dzisiejsze stosunki bogaci prawie, — no, a w tym, supergościnnym — zagadką jest wprost, skąd środki na takie przyjęcia czerpią? Bo dla nikogo nie jest tajemnicą, że resztkami gonią i kredyt mają do cna wyczerpany. Otóż pomiędzy temi dwiema ostatecznościami najpożądany jest złoty środek, czyli: w przyjęciach stosować się do rozporządzalnych środków, nie zapatrując się na tych, co mają i mogą dać więcej; z drugiej strony—chociaż skromnie, lecz smacznie i przyzwicie nakarmić gości, aby głodni nie szli do domów. Kogo na to nie stać, lub kto nie chce zadawać sobie odpowiednio dużej fatygi, niech nie urządza wieczornych przyjęć i ograniczy się do popołudniowego five'u, na którym czarna kawa, likier i trochę ciast zaspokoją nawet duże wymagania.

Jeżeli mamy czerpać z Paryża modę nie tylko sukien, lecz i sposobów przyjmowania gości, to ostatnim krzykiem mody jest mieć w mieszkaniu własny bar. Taki wysoki stolik z szafką na napoje, za nim podniesienie dla barmana, na stoliku wysokie szklanki i kieliszki najbardziej fantastycznych kształtów i maszynka niklowa do przyrządzania różnych cocktail'ów a przed stolikiem wysokie taborety, jak w prawdziwym barze. Rolę barmana odgrywa czarująca pani domu, wkładając białą kurtkę na balową tualetę, a goście kolejno zasiadają na taboretach i ciągną przez słomki fantastyczne utwory pomysłowej główki i cudnych rączek: różne flipsy, éten-dary, cocktaile, egg-noggi, już nie mówiąc o zwykłym whisky and soda, sherry cobbler, lub peppermint'cie z lodem.

Nie radzę wcale urządzania całego takiego kosztownego aparatu; lecz niektóre napoje amerykańskie dałoby się wprowadzić i do naszych, monotonnych nie-co, napojospisów. W pierwszym rzędzie — sherry cobbler. Jeszcze za zamierzchłych wieków mego dzieciństwa pijano go latem w domu moich rodziców.

Do małych szklaneczek (szampanek) nakłada się trzecią część lodu, wsypuje łyżkę cukru, wkłada plasterki cytryny; po dokładnem wymieszaniu tych ingrediencyj wlewa się konjak (kieliszek od likieru) i dopełnia szklaneczkę Xeresem. Pije się przez słomkę i jest wyborne.

A propos napojów przypomniałam sobie wyborny trunek, który pijaliśmy przed wojną na wsi, w upalne dni przy podwieczorku, lub jesienią w długie wieczory, przy kominku. Wprowadziła go w naszych stronach sąsiadka, narodowości tak skomplikowanej, że ją tutaj opisać spróbuję, bo określić jednym słowem nie potrafię. Mąż jej był to zrusyfikowany Niemiec, ona się rodziła z ojca tatarą i matki polki; zresztą, uważała siebie za rosjankę, do Polaków jednak czuła sympatję, gdyż łączył ją z nimi katolicyzm, na który nawrócił ją w Konstantynopolu mnich włoski. Jakiego więc pochodzenia był napój, tembardziej zgadnąć trudno—był jednak wyborny. Do szklaneczki wkładało się trzecią część lodu, na to nalewało się najlepszej śmietanki i duży kieliszek likieru z zapachem pestek, więc: abricotine, crème de noyaux, peach brandy, lub (ale to było najmniej smaczne) cherry brandy. Po prędkim zamieszaniu raz tylko, piło się to przez słomkę i smakowało nadzwyczajnie. Panie i panowie, starzy i młodzi z radością witali zapotniałe od lodu szklaneczki z wyborynym płynem. Kto rozporządza dobrą surową śmietanką, niech popróbuje tego napoju, a będzie mi wdzięczny.

Pani Elżbieta.

Ponieważ numer niniejszy poświęcony jest tematowi karnawałowym, dokończenie artykułu: „Ekonomiczne opalanie“ podamy w następnym numerze.



PĄCZKI

Na wsi z konieczności trzeba robić pączki w domu, gdyż nie mamy blisko cukierni. W mieście opłaci się je robić tylko w bardzo znacznej ilości—kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt, taniej wypadnie kupić w dobrej cukierni. Chcąc, aby smakowały tak, jak świeże, wsunąć je na metalowym półmisku, przykryte salaterką lub miską, na chwil parę do pieca, aby się rozgrzały. Pączki, których przepis podaję, robiłam kilkakrotnie i zawsze mi się udawały. Z proporcji, tu podanej, wychodzi około dwustu pączków. 4 kilo mąki suchej i przesianej, 20 deka najświeższych drożdży, 40 żółtek, 1 kilo i 20 deka cukru—pudru, 40 deka sklarowanego masła, laseczka wanilji, pół szklanki araku, rumu, lub chociażby spirytusu, trzy szklanki śmietanki. Do smażenia—dwa do dwóch i pół kilo szmalcu. Pół kilo cukru, utłuczonego z pół laską wanilji—do obsypywania, lub też syrop z kilo cukru, półtora litra wody, dwóch cytryn i kieliszka esencji ponczowej—do zamaczania.

Dwiema szklankami wrzącej śmietanki sparzyć szklankę mąki, wybić mocno; gdy wystygnie, wlać 20 deka drożdży, rozpuszczonych w trzeciej szklance śmietanki, i doskonale wyrobić. Wsypać wszystką mąkę, wlać żółtka, utarte do białości z cukrem, utłuczona wanilję, arak, wyrobić mocno; wkońcu wlać przestudzone masło i dodać łyżeczkę soli. Wyrabiać ciasto, aż od ręki odstanie, nie powinno jednak być zbyt gęste; gdyby było za gęste, dolać mleka lub śmietanki; postawić w ciepłe, aby podrosło. Gdy dobrze urosnie, rozciągać po kawałeczku ciasta na stolnicy i szklanką wycinać pączki. Jeśli chcemy mieć pączki nadziewane, należy rozciągnąć cienką warstwę ciasta, położyć w odpowiednich odstępach osączone z syropu wiśnie, lub maliny z konfitur, pokryć drugą warstwą ciasta i dopiero wtedy wycinać pączki. Ułożyć na deskach w dobrze ciepłym miejscu. Gdy ładnie wyrosną, kłaść wyrośniętą stroną na rozpalony szmalec. Zrumienione, przewracać na drugą stronę. Rondel powinien być przykryty pokrywą, a lepiej rosna. Gorące, obsypywać cukrem z wanilją lub maczać na sekundę w przygotowanym syropie ponczowym. Te pączki są bardzo wykwintne. Możemy je zrobić według tego samego przepisu, kładąc tylko 20 żółtek, ujmując też trzecią część masła i cukru. Ponieważ ciasto będzie z tej ilości mąki nieco za gęste, trzeba będzie dodać trochę letniego mleka. Ilości mąki dokładnie nigdy nie można określić, gdyż zależy ona od suchości mąki. Gęstość ciasta reguluje się dolewaniem letniego mleka lub śmietanki.

FAWORKI

Sześć żółtek, pół szklanki najgęstszej śmietany, na koniec noża soli, tyleż sody, kopiastrą łyżkę cukru-pudru i tyle mąki, ile się da wgnieść w ciasto niezbyt twarde. Wygniatać tak długo, aż ciasto zacznie błyszczeć. Wybić je jeszcze mocno o stolnicę, przykryć miską, potrzymać tak godzinę. Wałkować, wcale nie podsypując mąką, tak cienko, jak papier; krajać w pasy, potem w ukośne długie kawałki, nacinać wśrodku, przewijać i smażyć na rozpalonym szmalcu do jasno-żółtego koloru. Gorące, obsypywać cukrem, utłuczonym z wanilją.

FAWORKI DROŻDŻOWE

Resztki ciasta, pozostałe przy wycinaniu pączków, zebrać razem, dodać mąki i wyrobić na gładkie ciasto, dosyć twarde, aby się dało cienko wałkować. Krajać w pasy, potem wpoprzek na kawałki piętnastocentymetrowe, nadciąć z jednego boku dosyć głęboko trzy lub cztery razy. Potrzymać dwie godziny w ciepłe, aż nieco urosną. Smażyć na rozpalonym szmalcu, kładąc wyrośniętą stroną, a po zrumienieniu przewracając. Obsypywać cukrem z wanilją i podawać do konfitur lub herbaty. Usmażone, mają kształt rogów jelenich.

Pani Elżbieta.

U „ANIELI“

Być zgrabną — oto marzenie każdej kobiety współczesnej. Być zgrabną — to znaczy dziś więcej, niż być piękną. Niestety, przyroda nie dla wszystkich jest jednakowo łaskawa w tym względzie, a współczesna suknia tak niedyskretnie zdradza wszystkie tajemnice budowy! Jednakże na wszystko jest rada. Trzeba się wybrać na Marszałkowską pod 91: tam pani Aniela potrafi znaleźć lekarstwo na wszystkie defekty sylwetki. Do krynolenek wynalazła pani Aniela specjalne staniczki sznurowane, wysmuklające kibić, zostawiające zupełną swobodę biodrom. Staniczki te są tak głęboko wycięte, że pozostaną niewidoczne przy najgłębiej dekoltowanej tualecie. Do sukien obcisłych na biodrach ma p. Aniela pasy, łączone ze staniczkami, miękkie, wygodne, niedostrzegalne dla oka, a tuszujące nawet znaczne defekty budowy. Pasy gumowe p. Aniela odradza, jako niehigieniczne — nieraz powodujące zapalenie skóry. Zdanie p. Anieli zbiega się w tym względzie z opinią wszystkich lekarzy. I jeszcze jedno: znajdują panie u p. Anieli majteczki gumowe, które—gdyby mimo niezdrowia trzeba było wybrać się na zabawę—gwarantują absolutną pewność, nawet w najjaśniejszej sukni.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBAH SKÓRNYCH I KOSMETYCE LECZNICZEJ CODZIENNIE OD 5 DO 7. KRUCZA 31, m. 3.

DOBRE RADY

Jeżeli tusza której z pań jest zbyt obfita — niech strzeże się staników, wyciętych okrągło: wycięcia szpiczaste poszczuplają i nadają figurze pozór wiotkości, wycięcia okrągłe ładne są tylko dla młodych i szczupłych osób, wycięcia w kwadrat odpowiednie dla pań dobrze zbudowanych, o ładnej karnacji.

* * *

Kto ma piękne dawniejsze falbany koronkowe, niech je użyje do stanika wygorsowanego. Powraca wdzięczna moda bert, okalających wycięcie. Muszą być długie, zasłaniające rękę do połowy łokcia, i cienkie, jak pajęczyna. Do sukien wieczorowych robimy je z tiulu w drobne muszki — z czarnego tiulu bardzo są do twarzy.

KORESPONDENCJE

Pani M. W. — Świecie. Zapewne zaszła jakaś pomyłka, gdyż nie przypominamy sobie podobnego zawiadomienia. Co do ustawiania na kredensach różnych srebrnych i kryształowych przedmiotów. — byle były ładne i przedstawiały jakąś artystyczną wartość — można je ustawiać. Piękne rzeczy zawsze są w dobrym guście.

Pani L. K. — Borysław. Na kredensie ustawia się srebrne, lub fragetowskie ozdobne przedmioty. Na szafkach mogą stać patery, albo dwa jednakowe wazony; serwetki obecnie używa się haftowane kolorowo, niema bowiem nic modniejszego, jak haft ko-

lorowy. Firanki-story, poszywane dużymi ściegami na siatce, bardzo będą odpowiednie do męskiego pokoju. Kilimy cieszą się zawsze powodzeniem, na portjery jednak mniej są używane; zwłaszcza obecnie, kiedy portjery, jako niehigieniczne zbiorniki kurzu, nie są w użyciu. Otomanę w jadalni można narzucić kilimem, w sypialni — kapą, zeszywaną w deseń z resztek futer, albo całych skórek króliczych, układanych w deseń kolorami. Na takie kapy używają też skórek ze swojskich kotów. Podsyte fularkiem i obrzeżone falbaną z jedwabiu lub aksamitu — wspaniale wyglądają.

Pani C. M. — Poznań. Na pytania Sz, Pani odpowiadamy obszernie w jednym z artykułów dzisiejszego numeru „Bluszczu”. Sądymy, że kwestja, poruszona przez Sz, Panią, zainteresuje ogół Czytelniczek.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„O pielęgnowaniu rąk“

FACHOWE RADY I WSKAZÓWKI,
JAK PIELEGNOWAĆ RĘCE.

CENA 1 zł. 50 gr.
Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„O przyjęciach i stole jadalnym“

ZASADY WYTWORNEGO NAKRYWANIA STOŁU
DLA GOŚCI I W DNIU CODZIENNYM

CENA 1 zł. 50 gr.
Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju, oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Admniaistracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.